



**ZABIJEMY
DWA
KOGUTY**

4



**ZOSTAĆ
SOBĄ**

10



**JA MAM
TAKI PĘD
SZALONY-13**



UMOWA

14

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

CZŁOWIEK W SKANSENIE

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI

Kiedy traci się z oczu rynek miasteczka, nie jeszcze nie zapowiada odmiany. Uliczka dusi się w uścisku sztachet, drży gęstniejącym skwarem. Południe. Rozpłaszczona o szybę twarz, framuga okna, szaro tynkowana ściana i spadzisty dach. Dom. Skrzypnięcie drzwi i czyjś głos nawołujący: — Kochanie, chodź do domu. — Zaraz potem szczekanie psa, gderliwe utyskiwanie kury. Pomieszany gwar. — Po-czekaj, tylko skończę — niecierpliwy ruch miotłą. Leniwy dymek kurzu unosi się od podwórza. Wzdłuż płotu szpaler zmęczonych traw, przy furtce wdeptany, w ziemię.



Ktoś przyciska klamkę: — Państwo do kogo?
— Skansen?!
— Kilkadziesiąt kroków. Za tym bogatym domem.

Jakiś brzdąc rozpaczliwie chwytą równowagę. Rower niebezpiecznie zmierza do płotu. — Ale ja siam. Ja siam. — usiłuje powstrzymać interwencję zaniepokojonej mamy. Dzielný małec. Zza narożnika domu cień obok cienia; rozgestykulowane, zaambarasowane: — Nie masz racji, słuchaj. Wejdźmy do mnie to porozmawiamy.

To chyba tutaj. Furtka, puszczo-na, przymyka się gwałtownie. Cisza. Świeża zieleń drzew i krzewów. Żółć i karmin kwiatów. Ścieżka zstępuje niepostrzeżenie, przed ganikiem drewnianego dworku skręca w prawo i, jakby mimochodem ocierając się o zmartwiałą kłodę dębu, wspina delikatnie, by za chwilę za-lamać się w dół na znielową dolinę Pisy i Narwi. Nikogo. Tylko nad brzegiem kundel, z pozoru bez-

Ciąg dalszy na str. 8



**WABIENIE
MAGISTRA**

NINA OMELCZENKO

Tego jeszcze nie było! Rozumiabym ten tłok, gdyby sprzedawano akurat sztruks lub aksamit, ale żeby się pchać po m i e j s c e w Łom-żyńskim? Organizatorzy byli chyba równie zaskoczeni tłumem ściągającym z najdalszych zakątków kraju, a nawet z renomowanych miast, jak Kraków, Wrocław, Poznań czy Szczecin. Salkę na giełdę zaopatrzono wybrano malutką, prawie pękającą w szwach, gdy wtoczyła się tam brata studencka wraz z dyrektorami co większych instytucji. W tłumie, rejwach handlowano warunkami pracy i losem młodych ludzi.

Ciąg dalszy na str. 6

KONTAKTY
6 VII 80
ENA 4 zł



W WOJEWÓDZTWIE Łomżyńskim liczba nowo zatrudnionych w ubiegłym roku była tylko o ponad jeden tysiąc wyższa od liczby pracowników, którzy pracę opuścili: z 14 231 osób, które pożegnały swoje zakłady — 2 200 porzuciło pracę samowolnie, a 3 000 odeszło na własne życzenie. Dane te zostały przytoczone na wojewódzkiej naradzie aktywno-partijno-gospodarczego, konkretyzującej najważniejsze zadania regionu w złożonych obecnie warunkach rozwoju społeczno-gospodarczego kraju (nie wykonanie zadań planowych w minionym roku, co spowodowało spadek dochodu narodowego o ponad 2 proc., niekorzystna sytuacja na rynku światowym, stawiająca zwiększone wymagania przed naszym eksportem — w br. wartości wywozu musi być o ponad miliard dolarów wyższa od importu). W oparciu o analizę tych uwarunkowań Sejm podjął uchwałę urealnijającą plan rozwoju społeczno-gospodarczego kraju w br. Wynikają z niej zwiększone zadania także dla zakładów pracy Łomżyńskiego.

Dokonując gruntownej oceny wyników gospodarowania województwa

w bieżącym roku I sekretarz KW PZPR, Waldemar Szpaliński, przypomniał, że choć sporo napięć ma uwarunkowania obiektywne, to przecież bardzo wiele zależy od dozoru przedsiębiorstw i załóg. Mimo pomysłów realizacji podstawowych zadań społeczno-gospodarczych, nadal występują zjawiska wymagające zdecydowanego przeciwdziałania. Dotyczy to szczególnie nadmiernej fluktuacji, niedostatecznej dyscypliny pracy, przekraczania funduszu płac, niedoceniania potrzeby intensyfikacji eksportu.

Zbyt często jeszcze pracuje się byle jak, nieoszczędnie, bez należytej troski o efekty — mówili uczestnicy narady. Najważniejsze, by praca dobra, wydajna, opłacała się, zaś zła — natychmiast odbijała się na zarobkach. Decydującym kryterium oceny kadry kierowniczej — podkreślił I zastępca ministra przemysłu lekkiego, Stanisław Bajur — musi się stać, oprócz wyników produkcyjnych, praca z ludźmi, pełniejsze wykorzystanie ich zdolności i umiejętności. Program działań w tej dziedzinie jest obecnie przedmiotem zebrań wszystkich organizacji i instancji partyjnych w województwie.

POPRAWA ZAOPATRZENIA rynku województwa łomżyńskiego oraz unowocześnienie pracy handlu były przedmiotem obrad Egzekutywy KW PZPR. Wytknęła ona szwankującą organizację sprzedaży, niedostateczną kulturę obsługi klientów, ukrywanie towarów pod ladą, niewystarczają-

co troskę o wygląd estetyczny pomieszczeń sklepowych. Egzekutywa dokonała także oceny szkolenia partyjnego w okresie 1979/1980 i jego założeń na rok przyszły. W nadchodzącym roku szkoleniowych zajęć obejmie się ponad 80 proc. podstawowych organizacji partyjnych; równocześnie w mniejszych organizacjach powstaną stałe punkty odczytowe.

ROLI REGIONU w kulturze polskiej został poświęcony pierwszy zjazd pisarzy Stronnictwa Demokratycznego, który odbył się w Ciechanowcu.

DOROCZNA NAGRODĘ „Trybuna Ludu” za inicjatywę i organizację prac społecznie użytecznych, służących unowocześnieniu wsi, otrzymał Miejsko-Gminny Komitet FJN w Szczuczynie. Gratulujemy.

W UBIEGLĄ NIEDZIELĘ zakończył się Zjazd Wychowanków Średnich Szkół Łomżyńskich. Reporterską relację z jego przebiegu zamieszczimy w numerze następnym.

W GMINIE KLUKOWO piętnaście par otrzymało dyplomy z okazji jubileuszu 25-lecia małżeństwa. Dołączamy nasze serdeczne gratulacje.

DO JEZIORA RAJGRÓDZKIEGO w ciągu siedmiu dni drugiej połowy czerwca spadło tyle deszczu, że poziom wody podniósł się o 7 cm. Woda ta, jak wyliczono, można by napełnić rzekę średniej wielkości, łączącą Rajgród z Warszawą.

wierzchnia działki — do 1300 m kwadr.; dopuszczalna wielkość domu — do 110 m kwadr. powierzchni całkowitej.

ZAKŁADOWY FUNDUSZ mieszkaniowy wzrósł w roku 1979 o 6 mld zł i osiągnął wartość ponad 51 mld zł. Z blisko 9 mld pożyczek udzielonych w ubr. prawie połowę przyznano na remonty i modernizację mieszkań pracowniczych.

NA HASŁO „ZNIWA” otrzymuje się od 1 lipca (do 31 października br.) połączenia telefoniczne w pierwszej kolejności. Akcja ta będzie trwać do 31 października.

W LEŚNICYŹWCE PRANIE (WOJ. SUWAŃSKIE) otwarto po remoncie, świetnie tym razem zorganizowane, zasłone nowymi ekspozycjami, Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Kustoszem została córka wielkiego poety — Kira Gałczyńska, która zapowiada, że będzie to „placówka żywa, o bogatym programie działania.

PLAZE ZATOKI GDAŃSKIEJ (od Zatoki Puckiej do Krynicy Morskiej) zostały objęte zakazami kąpieli, wydanymi przez Państwową Inspekcję Sanitarną. Przyczyna: nadmierne skażenie bakteriologiczne wód przybrzeżnych na skutek rosnącego spływu ścieków komunalnych do Wisły i morza.

gram oszczędzania energii, który ma niezależnie energetykę zachodnią od importu ropy naftowej.

WYBORY PARLAMENTARNE w Japonii przyniosły duże zaskoczenie: zdecydowane zwycięstwo odniosła konserwatywna Partia Liberalno-Demokratyczna, głównie kosztem mieszczańskiej, buddyjskiej Komeito.

PAPIEŻ JAN PAWEŁ II przebywa z wizytą w Brazylii. Jest to kraj o największej liczbie katolików.

W WATYKANIE opublikowano dokument wyrażający przekonanie, że stosowanie eutanazji z jakiegokolwiek przyczyn, nawet z litości dla cierpiących i beznadziejnie chorych, jest sprzeczne z nakazami moralności katolickiej.

MENACHEM BEGIN oświadczył, że Jerezolima była i pozostanie stolicą Izraela.

SANDJAY GANDHI syn premiera Indii, zginął w katastrofie samolotu sportowego. Został on niedawno powołany na sekretarza generalnego, kierowanej przez matkę, Partii Kongresowej I.

81 OSÓB ZGINEŁO w katastrofie samolotu włoskich linii wewnętrznych „Itavia”. Przyczyną katastrofy samolotu Douglas DC-9 produkcji amerykańskiej nie są dotychczas znane.

dwa tyki ekonomiki



KRYPTONIM „MY”

Te akcje stają się już tradycją. „Mustang”, „Rynek”, „Licznik”, „Domek”, to kryptonimy niektórych z nich. Ich organizatorem jest Biuro Kryminalne Komendy Głównej MO — przy udziale licznych współorganizatorów, przede wszystkim z szerokich rzesz aktywów społecznego.

Jak wiadomo — łatwych na cudze mienie nie brak. Samochód trudniej ukrążyć niż pięćdziesiąt złotych, ale jaki z tego profit dla złodzieja? Co parę miesięcy — nie zaniechawszy w niczym bieżącej penetracji — milicja prowadzi na terenie całego kraju skomasywaną, wielką akcję pod kryptonimem „Mustang”. Jej każdorazowy plan to odzyskanie nawet kilkuset samochodów, ujawnienie paserskich melin oraz — niejako przy okazji — innych, mniejszych i większych przestępstw.

Akcja „Rynek” miała nieco inny charakter. Chodziło w niej o ujawnienie, jakże uciążliwych dla klienta, bolączek naszego handlu: podmioty gatunków, zawyżanie cen, sprzedaży spod lady albo wykupywanie towarów w sieci państwowej i ich odsprzedaż w paskarską marżę na targowiskach i bazarach.

Czy trzeba dopiero interwencji milicji, żeby zwalczyć to, o czym mówi się dość powszechnie? Czy tylko ci, którym „za to płacą”, mają monopol na zwalczanie zła? Na sekwestrowanie inderów, zakupionych w uspołecznionym handlu po trzy setki, a oferowanych na targach po tysiącu? Na wyciąganie z tzw. zaplecza chodliwych sweterków, których na sali sprzedażowej nigdy nie uświadczysz?

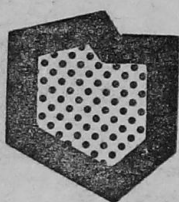
Zaraz, zaraz — obruszą się czytelnicy. — Przecież gdyby każdy wyrwał drobny przekupkom, byłoby to zwykłe bezprawie! A kto pozwoli klientowi wlaść na zaplecze? Czego ten redaktor od nas wymaga!

Nie namawiam do warcholstwa i samosądów, ale twierdzę, że w naszym systemie społeczno-gospodarczym zostały stworzone uprawnienia, które zapewniają nie tylko organom ścigania ingerencję w sprawy nas wszystkich interesujące i denerwujące. Mam na myśli chociażby komitety kontroli społecznej, działające na szczeblu wojewódzkim, czy też — a może tym bardziej — komitety członkowskie, które funkcjonują przy każdym sklepie i innych placówkach spółdzielczych. W sklepach, na widocznym miejscu, wywieszono nazwiska, a nawet daty dyżurów komitetu członkowskiego — pani A i Z oraz pana W. A jednak nie najlepiej się tam dzieje. Nie jest to reguła, lecz o wiele za dużo tych wyjątków.

W czasie innych akcji milicyjnych ujawniono podobne działania na szkodę społeczną. W akcji „Licznik” stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że nie zawsze wozi się legalnie, a kilometry rzeczywiście przebyte są niższe od ujawnionych w kartach drogowych. W czerwcowej akcji „Domek” ujawniono, że wiele letniskowych chat postawiono z kradzionych materiałów. Przykłady można mnożyć.

Chciałbym również zaproponować przykład. Mały mi się akcja pod kryptonimem „MY”, czyli bądźmy wszyscy odpowiedzialni za to, co się wokół nas dzieje, czuli i bezkompromisowi na wszelkie zło. Stańmy do niej. Bez terminu rozpoczęcia. Na co dzień.

JERZY BIELECKI



OCHRONA ZDROWIA była po raz pierwszy tematem plenarnego posiedzenia Komitetu Centralnego PZPR. W tej dziedzinie osiągnięto w Polsce Ludowej niepodważalne rezultaty: wydłużył się przeciętny okres życia Polaków (kobiet o 23 lata, mężczyzn o lat 19), spadła umieralność niemowląt (ze 120 do 21 na tysiąc urodzeń). Obok tych korzystnych zmian — występują jeszcze poważne problemy w tej dziedzinie, m.in.: opóźnienia w budownictwie szpitalnym, niedoskonałość lecznictwa otwartego, brak w zaopatrzeniu ludności w leki. Skuteczniejszego zwalczania wymagają alkoholizm i nadużywanie tytoniu. III Plenum KC podjęło uchwałę w sprawie dalszego rozwoju i doskonalenia ochrony zdrowia w społeczeństwie.

SEJM PRL przyjął „Uchwałę o zadaniach dotyczących realizacji Narodowego Planu Społeczno-Gospodarczego na rok 1980, niektórych w

nim zmianach i potrzebie zwiększenia efektywności gospodarowania”. Przewiduje ona m.in., że wzrost produkcji przemysłowej wyniesie 2-3 proc., a produkcja globalna rolnictwa w 1980 r. osiągnie poziom 667-671 mld zł. Sejm powołał na stanowisko ministra Budownictwa dotychczasowego prezydenta Krakowa, Edwarda Barszcza, odwołując jednocześnie z tej funkcji Adama Glazura.

PREMIER EDWARD BABIUCH przebywał z dwudniową wizytą w Austrii. Opublikowany komunikat polsko-austriacki podkreślił konstruktywny i przyjazny charakter rozmów. Zawarte zostało porozumienie w sprawie dostaw polskiego węgla kamiennego do Austrii, w powiązaniu z udzieleniem Polsce kredytu finansowego dla rozbudowy bazy wydobywczej węgla.

1 LIPCA WESZŁA W PEŁNI w życie ustawa z 27 października 1977 r. o zaopatrzeniu emerytalnym oraz innych świadczeniach dla rolników i ich rodzin. O emeryturę mogą się ubiegać wszyscy rolnicy (mężczyźni powyżej lat 65, kobiety — 60 lub 55 lat, jeżeli mają uprawnienia kombatanckie), którzy przekaza gospodarstwa następcom lub państwu.

NA BUDOWNICTWO lotniskowe od 1 sierpnia będą wykorzystywane tylko nieużytki. Maksymalna po-

dla roli Jugosławii w świecie i w ruchu państw niezaangażowanych.

TAJLANDIA OSKARŻYŁA siły zbrojne Wietnamu o dokonanie agresji w pobliżu granicy kambujsko-tajlandzkiej. Oskarżenie to zyskało poparcie ChRL, USA oraz konferencji ministrów spraw zagranicznych ASEAN (stowarzyszenie pięciu krajów Azji Południowo-Wschodniej). Natomiast wietnamskie MSZ opublikowało oświadczenie stwierdzające, że to rząd Tajlandii umożliwił uzbrojonym resztkom band Pol Pota i innych ugrupowań khmerskich przekroczenie granicy tajlandzko-kambujskiej, które — przy wsparciu artylerii i lotnictwa Tajlandii — zaatakowały żołnierzy kambujskich.

SALWADORSKIE siły rewolucyjne wyłouły dowództwo wojskowe i przywódców politycznych, którzy pokierują wojną ludową aż do ostatecznego zwycięstwa i utworzenia demokratycznego rządu rewolucyjnego.

W DEKLARACJI ZŁOŻONEJ dziennikarzom na zakończenie wiedeńskiego szczytu siedmiu najbardziej uprzemysłowionych państw zachodnich Jimmy Carter stwierdził: „Po powrocie do swych krajów zwrócimy się do naszych społeczeństw z wezwaniem do nowych wyrzeczeń”. Na obradach przyjęto 10-letni pro-



PLENUM KOMITETU Centralnego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego podjęło decyzję o zwołaniu XXVI Zjazdu partii na 23 lutego 1981 r.

KANCLERZ RFN przebywał z wizytą w Moskwie. Rzecznik rządu zachodniemieckiego określił ją jako ważne ogniwo w łańcuchu konsultacji ZSR—RFN i radziecko-zachodnioeuropejskich. Podkreślił także, że obowiązkiem Niemców, z których ziem dwukrotnie w bieżącym stuleciu wywołana została wojna światowa, jest przyczynienie się do złagodzenia napięcia międzynarodowego.

W BELGRADZIE przebywał prezydent Jimmy Carter. Obserwatorzy polityczni, pozytywnie oceniając rozwój stosunków pomiędzy USA a Jugosławią, szczególnie podkreślają poparcie amerykańskiego prezydenta

Bogaty plon konkursu „Mnie to zainteresuje” świadczy o tym, że od samego początku nowemu tygodnikowi łomżyńskiemu towarzyszy wiele sympatii i oczekiwań. Chcielibyśmy wiedzieć, czy kolejne numery „Kontaktów” będą zyskiwać kolejnych zwolenników i odpowiadać nadziejom Czytelników. Czekamy więc na dalsze uwagi i propozycje, które pomogłyby nam w jak najciekawszym redagowaniu tygodnika. Dzisiaj zamieszczamy kolejne fragmenty nadesłanych propozycji.

„Ja już jestem Waszym sympatykiem. Nareszcie jest nadzieja, że Łomża będzie miała własne, długo oczekiwane czasopismo. Myślę, że na pierwszym miejscu na łamach tygodnika powinny się znaleźć najnowsze osiągnięcia miasta i regionu, jego najistotniejsze problemy. Nie można też zapomnieć o 1000-letniej historii i tradycji miasta. Na przykład cykl reportaży, chronologicznie ułożonych w całość, o powstaniu miasta, jego rozwoju i upadkach przez wieki i lata. Nie bez znaczenia też byłoby zamieszczanie wspomnień ludzi, którzy to miasto oswobodzili i wskrzesili po ostatniej wojnie — a przyznać trzeba, że wiele im Łomża zawdzięcza”.

MICHAŁ LECH SINICO
Białystok

„Chciałbym w rubryce, która mogłaby nazywać się np. między innymi a przyszłymi laty, znaleźć teksty związane z przeszłością, z kulturą, szczególnie z kulturą ludową. Pismo powinno pomóc w ratowaniu kultury ludowej. Z inspiracji tygodnika należałoby jak najszybciej ratować to, co jeszcze jest możliwe, szczególnie w tych miejscach, w których latem przebywa wielu turystów. W rubryce tej można byłoby propagować jakiś sensowny styl budownictwa wiejskiego, bo kiedy widzi się, jak na miejscu kurpiowskich czy mazurskich chat powstają betonowe klatki, to serce boli”.

HALINA MASZTALERZ
Białystok

„Województwo łomżyńskie jest to obszar głównie rolniczy. Dlatego w tygodniku powinno się poruszać takie problemy, jak kłopoty rolników z urzędami, gospodarstwa specjalistyczne stanowiące przykład dla młodych rolników, zastanawiających się nad kierunkiem rolnictwa, życie kobiet wiejskich — matek, które godzą wychowanie dzieci z pracą w gospodarstwie”.

JADWIGA ŁOPIEŃSKA
Łapy

„Pragnęłabym — i chyba będę wyrazić wiele rodziców — aby w Waszym tygodniku na stałe ukazywała się rubryka zajmująca się poradami dla rodziców dotyczącymi wychowania młodzieży. Bardzo dobrze byłoby, gdyby na łamach pisma ukazywały się wypowiedzi znawców tych zagadnień, a więc psychologów, pedagogów, lekarzy różnych specjalności. Pomóc rodzicom w wypełnieniu podstawowego obowiązku — pozytywnego wychowania młodego pokolenia na dobrych synów i córki naszej Ojczyzny”.

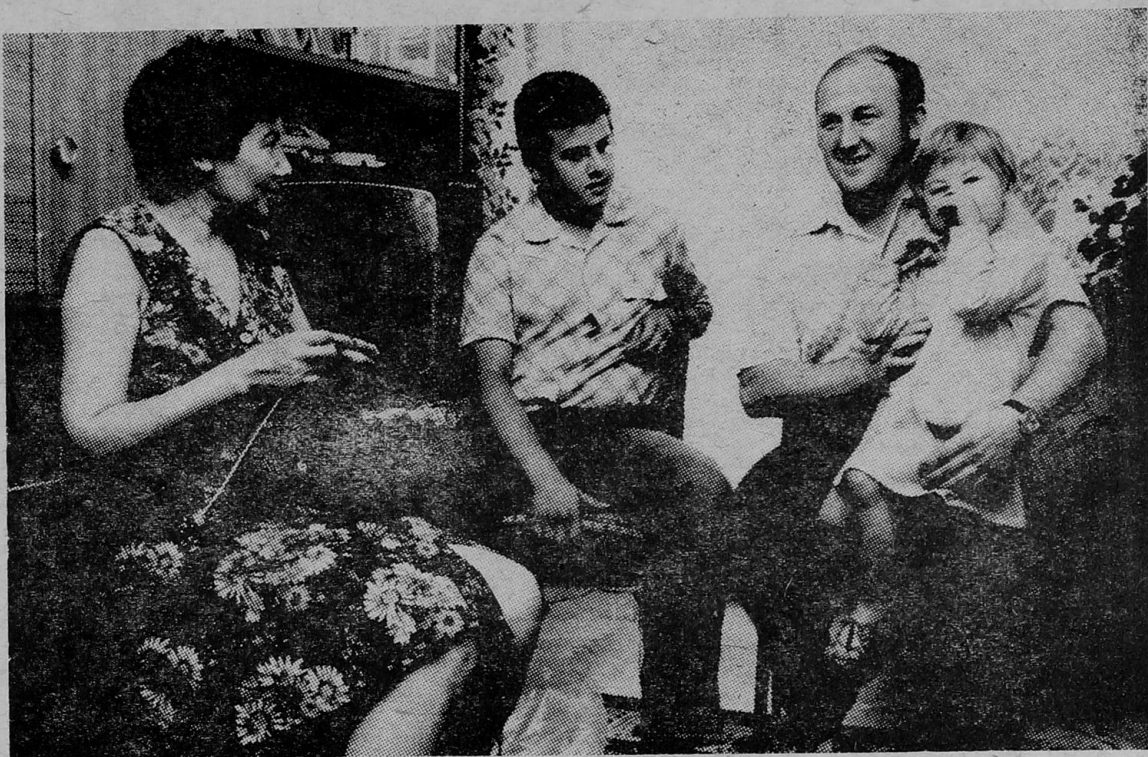
ANTONINA SKROBAŃSKA
Łapy

„Mamy w naszym regionie dużo ludzi bardzo zainteresowanych sztuką. Czytelnicy pragnęliby poznać tajemniki powstawania dobrej poezji czy też muzyki, filmu, teatru itp. Można by było zamieszczać wywiady z ludźmi zasłużonymi dla rozwoju kultury, fragmenty książek, opowiadań”.

ANDRZEJ MACIEJEWSKI
Łomża

„Uważam, że w nowym tygodniku winno być miejsce na wspomnienia o byłych sławach polskiego sportu. Interesowałyby mnie biografie żyjących czy też zmarłych bokserów np. Szymury, Koleczyńskiego, Antkiewicza, Chychły czy też lekkoatletów, jak Gierutto, Sidły. Wiem, że pisma sportowe zajmują się tymi tematami, ale nie wszystkie są łatwo dostępne. Dlatego też z niecierpliwością czekałbym następnego tygodnia, aby zapoznać się z drogą tych wielkich sportowców”.

ANTONI ROGOWSKI
Grajewo



Irena i Jan Krawczykowie są długoletnimi pracownikami Zakładów Przemysłu Bawełnianego w Zambrowie. Od kilkunastu lat mieszkają niedaleko zakładu, w nowym bloku spółdzielczym. Mieszkanko, jak na pięcioosobową rodzinę, niewielkie. Dwa pokoje z kuchnią. Urządzone jednak przyjemnie i funkcjonalnie. Pełne zieleni. Pani Irena wraca właśnie z pracy. Jej mąż kończy przyrządzanie obiadu. Wojtek bawi się z trzyletnią siostrą — Cenią.

„Kontakty”: — Cała rodzina w komplecie?

Jan Krawczyk: — Brakuje córeczki Marty. Zaraz po zakończeniu roku szkolnego pojechała na kolonie. Martwię się, bo napisała tylko jeden list.

Irena Krawczyk: — Na pewno jest jej tam dobrze. Lepiej, że nie ma czasu na pisanie, niż miałaby płakać i tęsknić za domem.

„Kontakty”: — A Państwo nie planujecie urlopu?

I.K.: — Ja wykorzystałam trochę urlopu w maju, a resztę przeznaczam na wyjazd z synem do Gdańska. Zdaje egzaminy do Wojskowej Szkoły Muzycznej. Ma już piętnaście lat, ale to duża podróż. Nie chcę, żeby był sam.

J.K.: — Ja biorę urlop w lipcu. Wyjeżdżam z dziećmi na wieś do rodziny. Pomogę im w polu, a dzieci odpoczną trochę.

Wojtek Krawczyk: — Dla mnie najważniejsza jest rzeka. Lubię łowić ryby. A poza tym mam ciszę i spokój.

„Kontakty”: — Nie będzie się Pani przykrzyć samej w domu?

I.K.: — O nie! Zawsze znajdzie się coś do zrobienia w mieszkaniu. Mam też małą działkę. Trzeba o nią dbać. Wprawdzie korzystać niewielkie, ale wzięliśmy ją przede wszystkim dlatego, aby mieć gdzie pójść z dziećmi, odpocząć, pogrzebać w ziemi.

„Kontakty”: — Teraz działka to modny sposób spędzania wolnego czasu.

J.K.: — Dla nas to nie kwestia mody, lecz tradycji. Oboje pochodzimy ze wsi. Znałam przysiółek z Zambrowa wcześniej. W roku 1955

skończyła szkołę włókienniczą i skierowano ją tu na praktykę. Została. Pobraliśmy się w roku 1964, ale dopiero w 1967 zacząłem pracować w tych zakładach. Praca, chociaż niełatwa, jest jednak dużo lżejsza niż na wsi. Z przyjemnością odpowiem rodzinie strony, ale nie wróciłbym już tam na stałe.

„Kontakty”: — Pracuje Pani w „Zambawie” dwadzieścia pięć lat. Czy nie marzy Pani o emeryturze?

I.K.: — O nie! Nudziłoby mi się cały dzień w domu siedzieć. Po tylu latach czuję się bardzo związana z zakładem. To całe szczęście, że nie mam jeszcze odpowiedniego wieku. Poza tym z jednej pensji trudno wychować trójkę dzieci.

„Kontakty”: — Macie Państwo jakieś większe kłopoty?

I.K.: — Raczej nie. Najważniejsze jest zdrowie. Oprócz mnie nikt nie choruje. Narzekam trochę na stawy, ale to jeszcze nie groźnego. Dbam o siebie, do sanatorium jeżdżę.

„Kontakty”: — Co wtedy z dziećmi?

I.K.: — Mam idealnego męża. Spokojny, pracowity, umie dom poprowadzić.

„Kontakty”: — Gdzie się Pan nauczył tej „babskiej” roboty?

J.K.: — Moja matka dużo chorowała. Musiałem i krowy doić, i gotować. Jak się ożeniłem, okazało się, że te umiejętności bardzo się przydadzą.

I.K.: — Pracujemy w fabryce na zmiany. W domu też. Gdyby mąż mi nie pomagał, to sam chodziłby do pracy o suchej kanapce i dzieci siedziałyby głodne. Trzeba by było do łobka, przedszkola posyłać. Syn chodził do przedszkola, ale obie córki w domu się wychowują. Przed szkołą chyba lepiej rozwija dziecko. Jest potem bardziej odważne i aktywne w szkole. Wolimy jednak mieć je w domu. W przedszkolach jest mało miejsc, nie chcemy zabierać bardziej potrzebującym.

„Kontakty”: — Wszyscy o sobie coś powiedzieli, tylko Cecylia nie chce z nami rozmawiać...

I.K.: — Och, jak się nieraz rozgada, to nie ma na nią sposobu. Wojtek, choć ją bardzo lubi, jest na nią nieraz zły, bo nie da mu spokojnie

poczytać. Strasznie lubi książki. Wypożycza z trzech bibliotek. W szkolnej już chyba wszystkie wyczytał. Muzyką też ogromnie się interesuje.

W.K.: — Gram na akordeonie i klarnecie. Lubię bardzo muzykę poważną: Chopina, Schuberta, Mozarta i jazz współczesny.

I.K.: — Ciągłe coś nagrywa i przegrywa. Szczególnie jakieś zagraniczne zespoły. Jestem naprawdę zadowolona i dumna z syna. Taki poważny. Nie płacze się po ulicach. Przeważnie siedzi w domu, z małą się bawi, czyta, telewizję ogląda. Czasem do kolegów wpadnie. Ma takich dwóch przyjaciół-bliźniaków. Teraz tylko o egzaminach myślę. Jak go przyjmą do tej szkoły, to będę miała spokój. Skończy się nareszcie ten koszmarny.

„Kontakty”: — Gdańsk jest daleko. Nie będzie Pani brakować syna?

I.K.: — Owszem, ale lepiej tęsknić, gdy się wie, że on tam się uczy, niżby tu miał zejść na złą drogę. Bo czym może się zająć piętnasto-, szesnastoletni chłopiec, gdy nie chodzi do szkoły?

„Kontakty”: — Zadowoleni jesteście Państwo z wyboru syna?

I.K.: — Wolalabym, żeby miał jakiś typowo męski zawód. Muzyk to nie bardzo, ale jak jemu się podoba, nie protestuje. Najważniejsze, żeby lubił swoją pracę.

J.K.: — Cóż bardziej męskiego niż wojsko?

„Kontakty”: — Państwo lubicie swoją pracę i miasto?

I.K.: — Tak. Jak nie nie brakuje, nie ma przestojów i klimatyzacja działa dobrze, to człowiek jest zadowolony. Z Zambrowa też już nie chcielibyśmy wyjeżdżać. Zapaścił się tu korzenie. Nie byłoby sensu zaczynać wszystkiego od nowa.

„Kontakty”: — Co Państwo planujecie na najbliższą przyszłość?

J.K.: — Planów jest dużo...

I.K.: — Ale nie takiego, co by zasadniczo zmieniło nasze życie. Jesteśmy szczęśliwi, że mamy udane dzieci. Z nimi wiążemy naszą przyszłość. Chcielibyśmy je wychować na dobrych ludzi, na dobrych Polaków.

DANAŁEK

co u państwa słychać?

punkt widzenia



Jan Ciborowski, rolnik ze Srebrzowa: — Od pewnego czasu rolnicy mogą otrzymywać albo 200 kilogramów mieszanek na jednego tucznika, albo równoważność tego w złotych (3 złote za kilogram), czyli łącznie 600 złotych. Bardzo wielu z nich — zwłaszcza ci, którzy nie specjalizują się w hodowli trzody chlewnej i nie posiadają większego pogłowia — bierze ów ekwiwalent. Tłumaczy to tym, że 600 złotych dopłaty do każdej sztuki czyni chów svin opłacalnym. Sądzą, iż jest to zysk pozorny, bo w przypadku żywienia wyłącznie własnymi paszami (w dodatku nie zawsze dobrze dobranymi pod względem białkowym) okres tuczenia znacznie się wydłuża, a co za tym idzie: większy jest nakład pracy, pasz, energii itd. I do punktu skupu na pewno odda się rocznie mniej tuczników.

Sam z ekwiwalentu nigdy nie korzystam. Raczej staram się w wolnej sprzedaży jeszcze dokupić trochę mieszanek. Owszem, produkcję własnych pasz (i oparcie się na nich) nie tylko warto, ale i trzeba popierać, jest to wręcz konieczność, ale wraz z tym musi iść — moim zdaniem — w parze wzrost umiejętności racjonalnego żywienia zwierząt. I chyba nie uda się uniknąć stosowania koncentratów, bo to krok do tyłu w nowoczesnej hodowli. Jest jakimś dużym nieporozumieniem fakt, że jeszcze parę lat temu zachęcano — między innymi, przez organizowanie pokazów — jak należy stosować np. „Provit”, a dziś często leży on w magazynach i technicznie.

Zdarza się, że wszystkie pasze przyrządzają sami rolnicy; często są one kiepskiej jakości. Stąd małe przyrosty, gdyż nie wzbogaca się żywienie koncentratami łatwo przyswajalnymi przez zwierzęta i paszami, które, w dodatku, leżą w magazynie.

Paszę można nabyć od ręki. Żeby podjąć zaś ekwiwalent, pracownik gminnej służby rolnej musi sprawdzić, czy nie została pobrana wcześniej mieszanek, i dopiero wtedy może wypłacić rolnikowi pieniądze. To trwa, i sprzyja dalszemu rozrostowi biurokracji.

Stworzenie własnego zaplecza paszowego powinno być celem każdego hodowcy, ale nie może nastąpić od razu. Dopóki rolnicy nie nauczą się przygotowywania pasz z udziałem roślin wysokobiałkowych, trzeba ich zachęcać do stosowania — w miarę istniejących możliwości — pasz przemysłowych, koncentratów. Będzie to wówczas proces powolnego przechodzenia na własne karmy, nie niweczający, powstałych już, dobrych nawyków mądrego i zdrowego żywienia zwierząt.

Zapewne sam pomysł z ekwiwalentem był dobry, ale w ślad za nim powinny pójść takie posunięcia, które będą skutecznie zapobiegały niewłaściwemu karmieniu zwierząt.

Łatwo mi się to mówi. Dopiero podczas naszych, trochę przypadkowych, kontaktów — ze służbą rolną widać jak na dłoni trudności z propagowaniem uprawy roślin. Rzadko kto zasięga u niej porady, a przecież potrzebują jej i młodzi, którzy nie mają jeszcze doświadczenia, i starsi rolnicy; uniknęliby z pewnością wielu błędów hodowlanych.

Notował L.G.

W Lutostani każdy chłop nosi kapelusz. Moda nowoszlachecka. Wystarczyło, że jeden kupił i wyjechał na wieś, po tygodniu takie same kapelusze nosiło już trzydziestu Lutostańskich i Mioduszeńskich.

Wiesi rozbiadawała się nieplanowo. Nie ma tu głównej ulicy, lecz szeregi, odbiegających od niewyraźnego centrum, zaułków. Wszystkie błotniste, glinaste, szczerbate. Mieszka tu trzydziestu sześciu gospodarzy — raczej bogatych.

Kryterium zamożności ciągle się zmienia. Nie wystarczy mieć traktor. To nie te czasy, kiedy można było paradować przez wieś na landsbuldogu, podskakiwać na siodełku, sąsiadów nie dostrzegać. Teraz wszyscy jeżdżą ursusami, niektórzy mają nawet po dwa. Mało ważny jest także samochód. Fiatów, wołg, wartburgów jest w Lutostani kilka-naście. Chciałoby trudno powiedzieć, że samochód nie ma znaczenia.

Na poważanie u ludzi trzeba pracować latami. Zaszukali sobie na ludzki szacunek Mioduszeńscy — ojciec Antoni i syn Marian. Mają oddzielne gospodarstwa, jednak bez siebie obejść się nie mogą. Obory i stodoły szpanują nową cegłą i rozmachem. Prawdziwy Wersal. Ojciec ma już nowy dom, murowaniec. Syn poszedł w przystępy. Gospodarczy samodzielnie zaledwie od pięciu lat, więc jeszcze nie zdążył wybudować chałupy, ale budynki gospodarcze ma nie gorsze niż ojciec. Właściwie — identyczne.

Dzisiaj u Antoniego fachowa robota — wylewają betonem podwórze. Dosyć już Mioduszeński ma błota. Całe lato trzeba w gumiakach brodzić po kolana, w tę i z powrotem, dziennie ze sto razy.

— Teraz elegancją będzie? — pyta przekrzywając głowę i z dumą patrzy na świeżą nawierzchnię obejsia.

Betonlarka furkocze, miesza cementowe ciasto. Cztery osoby z łopatami i taczkami kręcą się zwawo. Syn Marian robi za fizycznego, ojciec Antoni za nadzór techniczny. Tu dorzuć, tu wyrównaj, a kysz, poszła przekłeta, gdzie ślady zostawiasz!

Skończyła się woda w beczce. Stary zaprzęga konia, staje na wozie. Kasztanka z kłębasami pierśmi rusza jak na Służęcu, ostro bierze zakręt w bramie, cwałuje przez wieś do rzeki, raz, raz, wiadkiem napelnia wiaderkiem pięsetlitrowy baniak. Koń łopie mętną wodę, prycha zdrowo.

Tylko zwrócił z powrotem na podwórze, konia wypręgił, już żona wybiega przed brg.

— Antoś, szybko leć do sklepu.

— O, cholera — przeklina Antoni — znowu się gapiłem.

Za dwadzieścia minut wraca z dwoma bochnami. Jeszcze zdążył, ale nie wszystkim wystarczyło.

Idę do sklepu, gdzie pieczywo robi za rodzinę. Na drodze zatrzymało się kilka ciągników. W opłotkach stoją sterty skrzynek po winie „Wigraszkę” i łomżyńskim piwie.

Drzwi sklepu zamknięte, chyba nieczynny. Przez okno chałupy dolatują siarczyste chłopskie przekleństwa, brzęczą szklanki.

Awangarda przystąpiła do rzeczy. Wlazłem na małą górę, skąd cała wieś widoczna jak na dłoni. Dziwna osada, ale sympatyczna. Postęp dosłownie wciska się między chałupy, trochę jakby za szybko. Eternitowy socjalizm zbyt kontrastowo wygląda pośród feudalnych strzech. Wiekowe słomiane czapy są widokiem powszechniejszym niż w okolicznych miejscowościach, nikt jednak nie dogoni Lutostani w inwestycyjnym galopie.

Wiesi w czasie wojny nie miała szczęścia. Akurat tu przebiegała pierwsza linia frontu. Wyszli wszyscy, zryli pola okopami, postawili kołczaste zasieki. Front stał od sierpnia czterdziestego czwartego do 17 stycznia następnego roku. Jak ruszył na zachód, z Lutostani pozostał popiół.

Ludzie wrócili na swoje. Lutostańska szlachta jest zawzięta, a taka może żyć tylko na swojej ziemi. Z pięćdziesięciu przedwojennych gospodarzy od nowa na nogi zaczęło stawać trzydziestu sześciu. Udało się zdobyć siedemnaście koni. Co wówczas znaczył koń? Wszystko. Bez tego gospodarzenie nie miało sensu. Ludzie sprzedawali garnitury, aby tylko mieć co zaprzęgać do pluga.

Do lat siedemdziesiątych żyło się spokojnie. Wszyscy byli przekonani, że są wsią szlachetką, bogatą; wokół sama biedota, i ta świadomość im wystarczyła. Jadąc na targ do Zambrowa lutostańscy wysoko trzymali głowy, kiwali od niechcenia na pochwalony tych z Piasków.

Ktoś powiedział, że w Lutostani skondensowały się wszystkie pozytywne cechy współczesnych przeobrażeń polskiego rolnictwa. Może to traf, przypadek, ale fakt jest faktem. Wojewódzki Ośrodek Postępu Rolniczego w Szepietowie upatrzył tę wieś na miejsce wielkiego eksperymentu. Teoretycy uchwalili, że Lutostań objęta zostanie kompleksową specjalizacją i do roku 1983 wszyscy rolnicy staną się potentatami w produkcji mleka.

Pomysłodawcy promieniają z zachwytem.

Przjrzyjmy się więc atutom wsi, które zapłodniły szepietowski WOPR. Na 431 hektarów użytków, jakie znajdują się w posiadaniu rolników Lutostani, 193 zajmują użytki zielone. Łatwo więc wyliczyć, że ponad 45 procent całej powierzchni stanowi doskonałą bazę paszową dla rozwoju hodowli. Łąki i pastwiska są w miarę zadbane, chociaż daleko im do ideału. Rozciągają się po obu stronach rzeki Gać, mającej swoje meteorologiczne kaprysy, raz szerokiej jak Narew, rozlewającej się po łakach, raz wąziutkiej jak sznurówadło. Łąki od wsi dzieli niecały kilometr; można powiedzieć, że są tuż za stodołą.

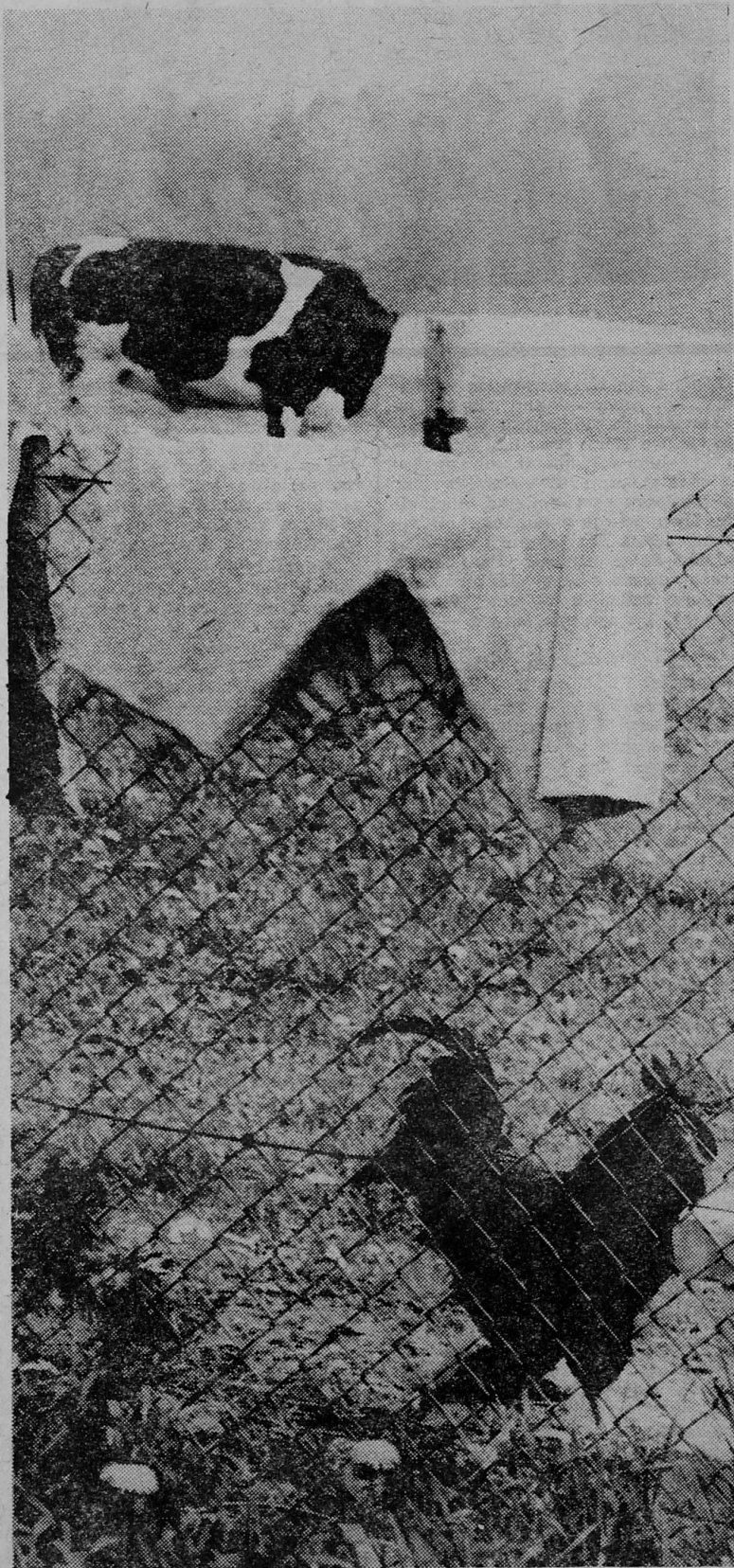
W Lutostani od dawna hodowali krowy. Jak były łąki było także bydło. Cóż jednak znaczy dwadzieścia czy trzydzieści par rogów na sto hektarów, kiedy naukowcy chcieli, by co najmniej sto!

Na czwartek wyznaczili w szkole zebranie. Przyjechałem godzinę wcześniej; jeszcze pusto było i głucho. Nad skoszoną trawą leniwie unosiły się muchy, schnące siano drażniło nozdrza, rozleniwiało. Ległoby człowiek na słońcu, zapatrzył w niebo, pożałował żdźbło. Z owego spoglądania w niebo bierze się chłopska refleksja nad życiem, przemyślenie siebie do wszechświata. Niezdrowe to praktyki, macące codzienny spokój. Dlatego coraz mniej osób kładzie się na sianie. Po robocie chłopcy jadą pod sklep, ciągnąc za traktorami zgrabiarki. Powietrze drży nad żwirową drogą, a oni unoszą do ust butelki ciepłego piwa. Płyn pieści gardła wyschnięte i spragnione, ludzie delektują się chwilą relaksu. Dopiero jak się zagapia, zasiedzą, zaczną im się kiwać chmielowe głowy — przychodzi refleksja.

Ze znowu czas do roboty.

Zbliża się godzina zebrania. Przed szkołę zjechało kilka samochodów, wysiadło kilkunastu panów ze skórzanymi teczkami. Sami dyrektorzy różnych instytucji obsługujących rolnictwo. Jest także naczelnik gminy, natomiast żadnego chłopca.

— Poczekamy pół godzinki, na rolnika wypada poczekać — mówi naczelnik.





ZABIJEMY DWA KOGUTY

KAZIMIERZ SIEMIENIAKO

Po kwadransie przychodzi sołtys Jankowski. Odwija z gazety pieczęć, chucha raz po raz i stempluje dyrektorskie delegacje. Wreszcie zaczynają się ciągnąć rolnicy. Ustawiają się przed bramą, zbierają w grupki. Na drodze zatrzymują się coraz to nowe ciągniki, samochody.

Kobiety trzymają się zupełnie na uboczu.

— To w sprawie szkoły będzie, prawda?

Naczelnik gminy wita zebranych.

A jednak nie o szkole, tylko o specjalizacji. Kobiety obracają się na pięcie, idą do domu gotować obiad. Mężczyźni posuwają się bliżej, okrażają stojący pod drzewem stół, nakryty zielonym sukniem z postrzępioną paprotką.

Przedstawiciel WOPR-u, mgr inż. Henryk Chiliński, rozpoczyna cytowanie kolumn cyfr i wskaźników. Chłopi kładą się na trawie, spoglądają na niebo. Padają wielkie słowa o świetlanej przyszłości, stadach lśniących holenderek, szerszej od Gaci rzece mleka, nowych domach i pękających portfelach. Szerokofor-matowo.

— Czy są pytania?

Towarzystwo ożywa.

— Ja do pana naczelnika tak prywatnie — powstaje jeden z trawy i bierze się pod boki. — Tu było tych naczelników do jasnej amerykańskiej. I wojewodów też było. Gaudia mamy dosyć! Bądź przynajmniej pan honorowy i pomóż załatwić drogę. Nam drogi potrzeba, a nie specjalizacji!

Do głosu dorywają się wszyscy.

— Żadne specjalizacje ani żaden sprzęt niczego nie załatwią, jeżeli nie będzie dojazdu na pastwiska. Na Gaci mostku nie ma, krowy w bród przechodzą. Chorobów od tego dostają, pękają cycki.

— Złożyliśmy podanie do spółek wodnych, chodziliśmy także ustnie. Powiedzcie, żeby zrobić w czynie społecznym. A my płacimy uczciwe pieniądze, możemy więc żądać. Całe lato struga nie koszona, woda występuje na łąki, porywa siano.

— Za dużo bydłaków jest, a le-

karstwa na jałowiznę brakuje. U mnie samego tego roku pięć krów jałowych. Jak jest lekarz od chorób kobiecych, to czemu ma nie być i do bydłaków?

— Kilkakrotnie prowadziłem krowę do sztucznego zapłodnienia i nic. Znalazłem jakiegoś kolucha, zacielił się od razu. To mam propozycję, aby przy inseminatorze trzymać u sąsiada byczka. Jak fachowiec nie poradzi, zacielić po naszymu.

— Mam pytanie polityczne: teraz cofamy się do tyłu czy do przodu idziemy?

Od zebrania minęły dwa tygodnie. W Lutostani już po siano-kosach. Teraz wre budowa. Najlepszy okres na gospodarskie roboty. Przedźniwny relaks. Antoni betonuje więc podwórze. Eugeniusz Mioduszeński powiększa dwukrotnie obórę. U Sienickiego w Kotach budują dom, sto metrów kwadratów w podstawie.

Cała Lutostań wyrasta od nowa. Jeden prześciga drugiego, spieszy się. Dwudziestu trzech gospodarzy posiada karty specjalistyczne. Oni stanowią pięć pancerną wsi. Ci, co trochę odstali, nigdy nie będą lepsi. Nie mają następców.

Gniazdoski chyba najdalej w tyle pozostał. Trudno powiedzieć, aby się nie starał. Haruje jak wół. Zdolny jest. Podanie napisze bez namysłu. Wie wszystko o polityce. Jego jedenastoletni syn powiada: — Jak tato zapisze się do specjalizacji, kupi traktor, będę gospodarzył. Inaczej nie mamy o czym gadać!

Żona Eugeniusza Mioduszeńskiego, która jest z zawodu pielęgniarką, ale zostawiła szpitalne sale i przyjechała na wieś ciągnąć pod krowim brzuchem, oblicza, że za 10 lat w Lutostani zostanie tylko 17 gospodarzy. Okrutna to przepowiednia, zupełnie macająca obraz przyszłości, stworzony w wyobraźni władz wojewódzkich. One swoją wizję opierają na planach i obliczeniach, żona Eugeniusza — na realiach. Gdy roztrząsa dom po domu, jasno widać, że nie będzie komu zostać na roli.

Dzień dzisiejszy Lutostani z perspektywy wojewódzkiej Łomży jest

optymistyczny. A mamy obecnie połowę 1980 r. Rok to jest dużo. W Lutostani prawie epoka. Sytuacja się wyklarowała: jest dobrze.

Przed rokiem, kiedy przyjeżdżałem do wsi, ludzie przeklinali pracę zlewni mleka. Niby wieś mlecznych specjalistów, a gdzieś powstawała biurokratyczna tama. A wiadomo, bez zlewni wszystkie plany biorą w łeb. Kłopoty rozpoczęły się od chwili, gdy Lutostań przestała podlegać Zakładowi Mleczarskiemu w Zambrowie, przeszła do Piątnicy Poduchownej.

— Zdarzało mi się — chlusnąć z bańki w ślad za samochodem — powiada Antoni Mioduszeński.

Wydaje się: nic prostszego, jak zdążyć na czas. Ale to nie tak. Godziny odbioru, ustalone przez Piątnicę, uwzględniały interes Zakładu, nie rolnika. Samochód przyjeżdżał bardzo wcześnie, kiedy krowy żarły na pastwisku w najlepsze. Rolnik wstawał o trzeciej lub czwartej i brakowało mu najważniejszych kilku minut. Powstawały konflikty.

— Bardzo nam ta Piątnica nie pasuje — powiadali rolnicy.

— Nic, tylko wracać do Zambrowa.

— Nie dadzą.

— To do ministerstwa sprawa dojdzie.

— A dojdzie.

Odbłyło się bez fatygowania najwyższych urzędów. Przed kilkoma miesiącami zjechali na kolejne zebranie dyrektorzy. Ktoś z mleczarni powiedział: — Nie atakujcie nas, dojdziemy do porozumienia.

Nikt z lutostańskich rolników nie puścił pary i wygrali na takim cichym układzie.

— Możemy teraz żyć — powiada Antoni Mioduszeński. — Mleczarnia pracuje jak radziecki zegarek.

Skończyły się żale, mleko płynie do Zakładu szeroką strugą, ponad trzy tysiące litrów dziennie. Instruktorzy nie krzyczą, że rolnicy przyjdą

bez łaski, przyniosą napełnione bańki. Weterynarz przyjeżdża na każde zawołanie. Nawet z Zambrowa.

Jest fajnie.

Pokićkało się tylko Mioduszeńskim. Przez prasę. Redaktor Ratajczak przeprowadził z Antonim rozmowę. Pryncypialną, konstruktywną, od serca. Antoni mówił „po prawdzie”. Ratajczak nagrywał. Po wydrukowaniu wywiadu — we wsi powstał raban.

— Znalazł się mądrała. Narzeka, że robotnicy pielący mu buraki odkrajają tłuste, chude zjadają. To niech sam je szynkę tę swoją i sam pracuje.

— Postanowiłem: żadnego dziennikarza za próg nie wpuszcę! Ojcu też zakazałem — zdecydował Marian Mioduszeński.

Czyni jednak od reguły wyjątek. Skarzy się na psie życie. Przywiozł tylko wóz siana; reszta od dwóch tygodni moknie na pokosie.

— Z tego gnoju mleko nie popłynie.

Meritum krzywd doznanych zawiąza się jednak w wywiadzie. Ludzie mówili o ojcu: — Złożył kosę na plecy i mizdrzy się niczym Amin.

Mariana ogarnął gniew. Pokłócił się z sąsiadką na przystanku peka-su w Zambrowie. Do dziś nie rozmawia.

— Co mi będzie przy ludziach gazetę pod nos podtykać!

Po podwórku kręcą się kury. Łażą beznamiętnie, ziarenka podziubują. Zaniepokoiły się koguty — trafił im się lepszy kąsek. Przystanąły naprzeciw siebie, spoglądają to na jado, to na dzioby. Jak w lusterku — opuszczają głowy. Czają się. I nagle: hop! Podskakują, chwytają za czuby. Zatrzepotały skrzydła, posypały się pióra.

Marian spogląda przez okno, jak walczą kuraki: mój ten z lewej, gazetowy z prawej. A dołóż mu, nie żółnij! Za dziób na śmierć. I padną zakapiory, ślepią im zgasną. Zabijemy dwa koguty w owy dzień...



Dokończenie ze str. 1

Prognozy naukowców określają zapotrzebowanie na absolwentów wyższych uczelni, którzy powinni podjąć pracę w gospodarce społecznej regionu do 1990 r., na ponad 4,1 tysiąca osób. Do obsadzenia stanowisk pracy, na których wymagane jest wykształcenie wyższe, trzeba byłoby od zaraz zatrudnić m. in. 171 inżynierów różnych specjalności, 203 pracowników i specjalistów administracji, 732 magistrów ekonomii. Rzecz jasna, jest to program optymalny i niemożliwy do zrealizowania w krótkim czasie. Np. w roku 1980 planuje się zatrudnienie tylko 254 absolwentów, z czego w przemyśle — 64, w handlu — 26, w budownictwie — 21, w transporcie — 16.

„Porównanie wskaźników wartości produkcji na jednego mieszkańca — powiedział dr Józef Szablowski na konferencji naukowej PTE, która odbyła się w czerwcu br. — stawia województwo łomżyńskie na jednym z ostatnich miejsc w kraju. Wprawdzie do tego rodzaju porównań można zgłosić wiele zastrzeżeń, wynikających ze zróżnicowanych funkcji poszczególnych województw, to jednak faktem jest, iż dotychczas nie wykorzystano wszystkich możliwości aktywizacji tego regionu. Wydało się, że sytuacja ta w znacznym stopniu ma uwarunkowania historyczne, ponieważ województwo łomżyńskie należało do byłego województwa białostockiego, także charakteryzującego się znacznym niedorozwojem w porównaniu z innymi regionami kraju.”

Szansa na przyspieszony rozwój otworzyła się parę lat temu, gdy Łomżyńskie uzyskało samodzielność administracyjną. Do zakładów starszych, jak zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego, dołączyło kilka nowych: łomżyńska „Narew” i Zakłady Płyt Wiórowych w Grąjewie; rozbudowano znacznie Przed-

siębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży, a w planie przestrzennego zagospodarowania przewiduje się m. in. dalszą rozbudowę Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego wraz z Zakładem Piwowarsko-Słodowniczym w Łomży, budowę i rozbudowę zakładów mleczarskich, przemysłu młynarskiego oraz zakładów spożywczych w Wysokiem Mazowieckiem.

RZECZYWISTOŚĆ W OCZY KOLE

„Jedyną ofertą, którą uzyskały dziewczyny przygotowane do rozwiązywania problemów wyznano-

wych, była praca w... służbach społecznych — grąjewskich Zakładów Płyt Wiórowych. Ktoś życzliwy doradził, by skontaktowały się z Wydziałem Spraw Wewnętrznych — „może tam coś wiedzą”.

Sledziłam też wędrowkę Staszka ze Szczecina. Przepychał się od stolika do stolika, reklamując się jako specjalista od inżynierii sanitarnej. — Mnie interesuje szczególnie ochrona środowiska, żona jest natomiast ekonomistą — zachwalał możliwości rodzinne. Bez skutku! Dopiero przy Przedsiębiorstwie Przemysłu Spożywczego usłyszał enigmatyczną obietnicę: — Jak pan

nie nie znajdzie, to proszę jeszcze ewentualnie przyjść, pogadamy.

— Chciałem jeszcze rozmawiać z tym kolegą, ale był niecierpliwy — usprawiedliwiał się później dyrektor Przedsiębiorstwa. Dodał także, że podpowiedział Staszce Wydział Ochrony Środowiska — „może tam coś wiedzą”.

Założmy, że Łomżyńskie rzeczywiście nie potrzebuje specjalistów od ochrony środowiska; a może kandydaci byli „felerni” lub oferta niezbyt dopracowana. Lecz czym tłumaczyć fakt odmowy udziału w licytacji łomżyńskiej służby zdrowia?

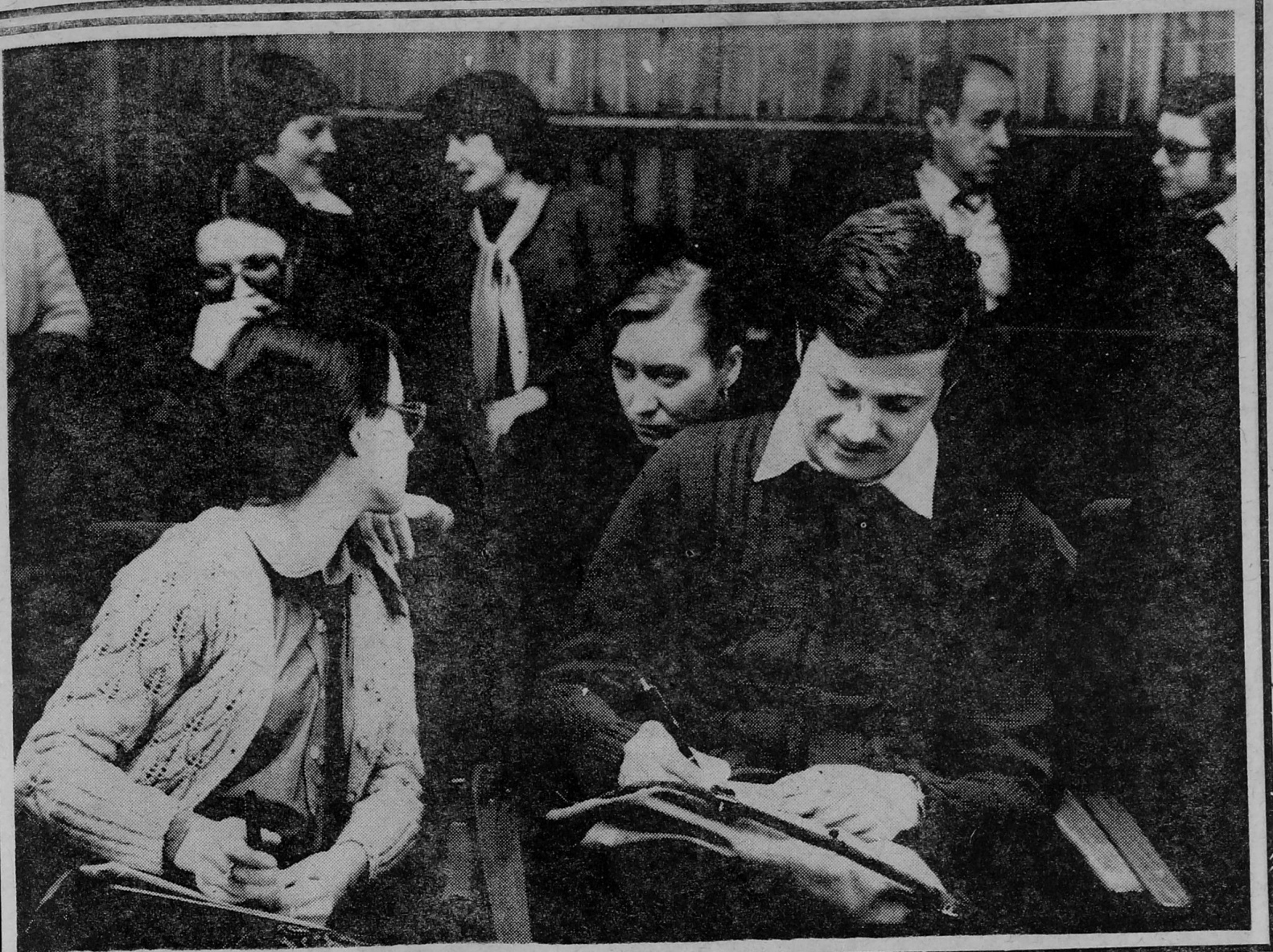
— Mamy w tym względzie wła-



Łomżyńskie Przedś.
Budowlane

WABIE NIE MAGISTRA





sne zamiary — odpowiedziano w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu Wojewódzkiego na propozycję uczestniczenia w giełdzie.

Plany planami, a rzeczywistość w oczy kole: 9 lekarzy na 10 tysięcy mieszkańców, przy średniej krajowej — 18; stomatologów 2,2, gdy w kraju wskaźnik ten jest ponad dwukrotnie wyższy. Aktualnie minimalne potrzeby oblicza się na 60 lekarzy i około 20 dentyistów, mimo iż lekarzom, którzy zdecydowali się przyjechać do Łomży i województwa na co najmniej siedem lat, udziela się pomocy finansowej m.in. w postaci 100 000 złotych. W roku ubiegłym tej zachęty nie wykorzystano nawet w połowie. Natomiast nadal nie udało się zmniejszyć wysokiej fluktuacji w tym zawodzie. Ale, jak się rzekło, Wydział Zdrowia ma w temacie: pozyskanie kadry — „własne plany”.

PUNKT ZA URODZENIE

Ubiegłoroczny absolwent nie był obiektem zainteresowań uczestników giełdy, bo nie można go wziąć na staż, dać cokolwiek do roboty i przyglądać się bacznie przez lupę, co potrafi, aby potem jak najlepiej wykorzystać jego kwalifikacje. Takiemu trzeba przydzielić konkretne stanowisko, konkretny zakres obowiązków i także wynagrodzenie. potem wyciąć się z tego jest znacznie trudniej. Zdaniem kierownictwa jednostek gospodarczych — prościej jest pozyskać miejscowych absolwentów przez fundowanie stypendiów i wysyłanie na studia już pracujących. Tyle że trwa to dłużej.

Postuluje się więc, by młodzież województwa łomżyńskiego miała zwiększony dostęp do studiów wyższych, przede wszystkim w Białymstoku i Olsztynie. Dyskutuje się nawet o możliwości wprowadzenia przy rekrutacji na studia dodatkowych punktów za miejsce zamieszkania — tzw. punktów środowiskowych. Bo-

wiem istnieje duże prawdopodobieństwo, że absolwenci pochodzący z województwa łomżyńskiego podejmą pracę na jego terenie.

STAWKA DLA MĘŻA

Zambrowskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego przysłały swego przedstawiciela uzbrojonego w kalkulator: — 4600 + 700 + 1.150 + 10 proc. zmianowego... + 400 złotych premii ponadsystemowej, którą dostaje mistrz = 7650. To byłaby stawka męża + ekwiwalent węglowy. Nie wspominałem o dodatku dla mistrza dyplomowanego.

— Mamy małe dziecko, przy pracy zmianowej byłby kłopot.
— Ustalimy odpowiednio zmiany.
— Mieszkanie?
— W sierpniu będzie wolne w bloku zakładowym.

— Mąż brał stypendium fundowane w obecnym miejscu pracy, ale nie dotrzymali warunków.

— Zrefundujemy. Możecie przychodzić w lipcu.

— Wolelibyśmy wcześniej!
Tak się handluje! Jeśli się chce i ma czym.

OD CZEGO UCIEKAJĄ

— Najlepsze lata — powiadają z nie ukrywanym żalem — spędzamy pod kuratelą teściów, pod osobistym nadzorem sędziów ferujących wyroki na sposób wieszania ręcznika i wychowania dzieci, na temat spraw drobnych i zasadniczych, decydujących o poczuciu odpowiedzialności i wartości własnej.

Wiedzą od tego co sił, nie pamiętając o pewnych też dogodnościach, wynikających z tego układu, jak opieka nad latoroślami, przygotowywanie na czas posiłków. Wolą pozostać na samodzielność.

Uciekają od pokoiów sublokatorskich — z umeblowaniem lub bez, z wygodami lub bez, z możliwością świecenia żarówki po godz. 22.00. Od braku perspektyw; stłoczeni w biurach projektów, fabrykach, urzędach, odkrywają nagle, że ich nie ma, nie istnieją. I nie przebijają się ani za rok, ani za dwa.

Uciekają od paradoksów wielkich miast: od tłumów w każdej chwili dnia — na ulicy, w sklepie, w tramwaju; na wyciągnięcie ręki i bliżej. Lecz o sto mil dalej, gdy trzeba pomocy, otuchy, gdy rozgrywa się osobiste dramaty. Od nawarstwiającego się uczucia przytłoczenia, bezradności, bezwartościowości własnej. Marzenie o wędrownie zaczyna się od radości, że „Tam nic nie ma. Zobacz, tylko kreski bagna na mapie”.

ZMIĘKCZANIE

— Na mieszkanie polecałem — przyznaje się Jan Galdstrom, kierownik Wydziału Płyt Uszlachetnionych Zakładów Płyt Wiórowych.
— Gdy wysiedliśmy na stacji w Grajewie, to w pierwszym odruchu chciałem natychmiast wracać do Gdańska, ale nie było powrotnego pociągu, dopiero za kilka godzin. Pojechaliliśmy więc z żoną obejrzeć zakład. Zmiękłem.

Widziałem dużo miasteczek tej wielkości, ale zwykle bardzo zadbanych, jakby tam władze lepiej sobie radziły. Inna rzecz, że tutejsze społeczeństwo jest specyficzne. Niektórym jakby w ogóle nie zależało na pracy. Zawodzą wszystkie łagodne środki perswazji. Podobno uzyskałem pierwsze miejsce w zakładzie w ilości kar udzielanych pracownikom. Ale też od listopada ubiegłego roku, od kiedy jestem kierownikiem, zadania produkcyjne mój wydział przekracza.

Wieksta tu jest na pewno możliwość awansu; w ciągu trzech lat przeszedłem wszystkie szczeble, poczynając od mistrza. Ponadto w takim regionie, jak łomżyński, można znaleźć odpowiadającą człowiekowi pracę, podczas gdy np. w Gdańsku trzeba brać, co dają, jeśli dają.

Własne mieszkanie jest najsilniejszym magnesem. Położone na szali — przeważa wszystko: dostęp do teatrów, kin, klubów, pływalni i jeszcze paru innych dóbr cywiliza-

cyjnych. Bez niego wszystko wydaje się palcem na lodzie.

„W 1975 r. udział zatrudnienia w przemyśle woj. łomżyńskiego w stosunku do ogółu zatrudnionych wynosił zaledwie 9,9%, co często odpowiada strukturze zatrudnienia mniej rozwiniętych krajów Trzeciego Świata [...]. Sieć kolejowa jest bardzo słabo rozwinięta. Stanowi ok. 0,75 proc. długości linii kolejowych w kraju. Można stwierdzić, że występuje znaczny niedorozwój infrastruktury w tym zakresie [...]. Przemysł lekki, mimo najwyższego udziału w produkcji tego regionu, nie posiada rozwiniętej struktury. Jego rozwój w zasadzie został ograniczony do przemysłu włókienniczego, ale także o nierozwiniętej strukturze. Należałoby kontynuować dotychczasowe tradycje i doprowadzić do stworzenia pewnego kompleksu przemysłu lekkiego [...]. Przemysł spożywczy obok przemysłu lekkiego powinien stać się ważną dziedziną działalności województwa. Dotychczas posiada on bowiem spośród wszystkich województw najniższy udział w przemyśle spożywczym w kraju [...]. Założenia perspektywiczne planu zagospodarowania przestrzennego województwa należy poddać unikielowej analizie, ponieważ projektowane tempo przemian w małym stopniu niweluje od lat nawarstwione zaległości dotyczące rozwoju terenów, które znalazły się w granicach województwa łomżyńskiego.” (Z referatu dr. Józefa Szabłowskiego).

— A jednak Łomża i województwo dają szansę zrealizowania marzeń — powiedział w imieniu „obcej” młodzieży Marek Humeńczuk z Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Łomży. — Jest to miasto dla niecierpliwych, którzy chcą się sprawdzić w nie najłatwiejszych przecież warunkach, chcą czegoś dokonać, być potrzebnymi, co jest naturalnym pragnieniem każdego człowieka, a nie wymysłem filozofów. Jeśli znajdą tu swoje miejsce i uznają tę Ziemię za własną — wówczas korzyści będą obustronne. Jeśli jednak potraktują ją jako teren eksploatacji — przegrają.

NINA OMELCZENKO





DOKONCZENIE ZE STR. 1

namiętnie wypatrujący znajomego kształtu łodzi. Ścieżka snuje się wzdłuż rzeki, przesmykuje mostek łączący przeciwległe skarpy malutkiego wąwozu i skręcając po raz ostatni, zatrzymuje przed bramą. Furtka uchyla się bezszelestnie. Kilka chałup, wiatrak, studnia z żurawiem, pod drewnianym okapem wóz. Zadbane. Jakby dopiero przed chwilą opatrzone ręką gospodarzy, którzy wyszli właśnie w pole, ale wrócić przecież. W słońcu wygrzewa się kot. Zaskoczony, spogląda nieufnie. Zanim zdecyduje się odejść, przeciąga się i przeży leniwie. Niezagrożenie poczuje dopiero na kolanach swego pana. Szkoda tylko, że ten ukrył się w cieniu.

Statuszek wygląda na zamyślonego. Papieros żarzy się w ustach długo i cierpliwie. Do czego się spieszyć? O tej porze rzadko kto tu zagląda. Chyba że jakaś wycieczka czy nauczycielka z gromadką dzieci. Lecą jakoś samemu te godziny, ale najmilej, kiedy słysząc młode głosy.

Statuszek ożywia się, sięga do kieszeni po klucze. Młodzi chętnie słuchają i zadają pytania, a ktoś lepiej od niego potrafi opowiadać: — Tu jest sionka, tu izba, a to komn, na którym gotowała gospodyni, i piekarnik, gdzie chleb piekla. A to jest wyciąg. Tędy dym leciał. To było palenisko na lato. Jak przyszła zima, likwidowali go, w drugim piecu palili, i on dawał ciepło na całą chatę. Trzydzieści stopni. Nakładła gospodyni drzewa różnego, zapaliła, drzwiczki zamknęła,

sia dła i dawał kartofle obierać. Zanim naszykowała garnki, to w tym czasie kartofle się, proszę pana, ugotowały, tam tego smęgo dodała i tako było.

Drzewa nie żalowali. Wichura nalała, hektary, setki hektarów wylukła. Co miało to, gnić. Każdy brał, ile chciał, bo to królewskie lasy były. Do palenia, do budowania. Budowanie od siły fizycznej zależało. Jak miał ojciec czterdzieści lat i dwóch synów, to mogli duży dom postawić. A jak sam był, to tylko izbeczkę. Za tych czasów nie znali tu, co to piły. Wszystko siekiera robiła. Kurpie tylko przynosili piły od Niemca, a to i kurpiowską chatę łatwo poznać można było po tym, że węgiel miała pilowane. Wszystkie statki przynosili sobie Kurpie od Niemca. Nikt ich na tej granicy nie pilnował. Co chciał przewieźć, to przewoził. Jak takie widelki metalowe przez granicę przeniósł, to tam zapłacił markę, a tu trzeba było dać trzy. Dwie marki rubel kosztował. Ludzie się bogacili na przemycie. Jak raz ojcu przywieźli pięć sztuk widłów, to zaraz kumy i sąsiady przyszli: „Eee, Rochu, Rochu, pokaz no te widły”. Którę w rękę wziął, to już nie oddał. „Ty się z nimi znasz, to dostaniesz zawsze”. A ojciec zapłacił po trzy ruble. Jak znowu przynieśli trzy, to już nikomu nie pokazał, ino jedne obsadził, a dwa zaniósł na strych i tam schował gdzieś.

Z tą granicą to w ogóle dziwnie było. Jak car z kajzerem się dzielili, to pramo, nie patrzył żaden, czy tam kościół, czy wieś. Miał chłop chałupę, to mu przez środek gra-

nica szła. Się śmiali po wiosce, że żona mu śpi w Rosji, a on w Niemczech. Majatki też im podzielił. Przychodził sołtys niemiecki: „Zapłać, bo masz tyle morgów”. To znowu Ruski: „Z mojej strony tyle morgów masz”. Niemiec brał w markach, Ruski w rublach.

Mój ojciec przyszedł tu z Myszynca. W Nowogrodzie on był jeden, co umiał czytać i pisać, bo go dziad do organisty na naukę posyłał. Jak w wojsku rosyjskim służył to go od razu feldfeblem zrobili. Że po rusku pojmował.

Ja się Świderski nazywałem. Jednego roku nachodzili mnie tacy, pytali, jak dziad, pradziad się nazywali i gdzie się rodził. Mówię: „Mam dokumenta ojca, że Świderski”. „A dziadek?” „Nie wiem”. A oni — dziadek i dziadek. Że niby może ja króla Jagielly kuzyn. On miał Witolda jednego brata, a drugi Świdrygałgas się nazywał. A to Świder znaczy. Ja tam nie wiedział, czy im się o króla rozchodzi, czy o kogo.

Tu jest, proszę pana, krosno do robienia płótna. Kobieta tkala, tkala, utkała tego płótna i tak zostało. Przez kolory przyciągnęła nitki i wychodziły kraty. O, widzi pan. Tu czerwona kratka, bo czerwone poszło na czerwone. A tu znów zielone poszło na zielone i się zrobiło zielone. A tam zielone poszło na czerwone, to się tak zrobiło trochę czerwone i zielone.

A tu, w alkierzu, dziadek z babką spał, bo było ciepło. Do gospodarki nie wychodził, to sobie spał, dokąd chciał. Synowa już śniadanie ugotowała, krzyknęła: „Dziadek,

wstawaj. Śniadanie gotowe!” Nieraz to i dzieci tam spali z dziadkami. Babcia deskę wyciągnęła, oparła o ścianę, dwie poduszki położyła i — „Kładźta się chłopaki”. Czterech na waleta. Okryła ich, później wychodziła: „Smarkacze, tylko mnie tu spijta spokojnie”. Za chwilę krzyk się zrobił. Ktoś tam płacze, ktoś szczipie. Przyjdzie matka, ręcznik okryła i kite, zaczęła kropić wszystkich po kolei. Suchym, ale naładowała. Wszystkie w bek. Później przestali posnęli, i tak było do rana. Ale już tro było ten sam pitel, panie. Ja też spałem w takim szlabanie, to ta sama choroba. Dwóch chłopaków z tego boku, dwóch z tamtego. Jak to nie kopnąć, jeżeli pięta do pięty dotyka? „Nie możesz skulić nogi ty...?” — szturchnął nogę jeden, szturchnął drugi i się wojna zaczęła.

To jest carska waga na pudry, a to polska na funty. A to Świder kowalski. Obok dla dziadka laska, pokazuje figę z makiem, z pasternakiem. Ten drewniany piesek, to do zdejmowania butów. Tu usiadł, panie, na krzeselku, nogę postawił na tym boku, w środek wsadził obcas, pociągnął i but się zdjął. A to znowu maczuga dla pastucha, co owieczki pasa. Jak wilk mu zabiera owcę, to zza krzaka wyskoczy, zawsze tak chyży, że ten mu nie ucieknie. Sekami go po grzbiecie podrapie tak, że wilk już nie czeka na drugie drapanie. Zwiewa do lasu, aż się z nim kurzy.

Zaś tu widzicie dawne kopycianki. Po cygańsku nazywają się lyżwy. Sześćdziesiąt lat temu wstecz nikt tu żadnej stalowej lyżwy nie oglądał. Dopiero Cygany w przemycie zaczęli przywozić je z Anglii. Kto

kupił od Cyganów...
ze „żiwa”...
zostało. Ko...
Te rogi...
wiesili. Ku...
Może jaki...
tego po la...
Jeleń je c...
jeszcze wi...
taki zwień...
woino był...
zająca, lis...
ka. Jak j...
tutaj urza...
bili wtenc...
turów, z...
niedzwied...
wali i mie...
żołnierzy...
Z tych...
Kurpiów...
stało. Co...
w skansen...
siódmego...
fesor po...
mną mies...
był starsz...
ga, ale z...
ojciec by...
pod opieł...
robotę da...
ki. Wszys...
podłogi...
wielkie o...
siał umie...
mieli, to...
lewało. A...
ojcu cho...
dzie szk...
po praw...
Potem z...
rower i...
nazjum...
zjum sk...
Do Wa...
tam błak...
nie, nie...
ogrodnik...
nie, a m...
„A ty —
ly chod...
„Jeszcze...
razie po...
baczyl c...
ze w W...
rzy cięż...
leg dał...
stał, to...
się dobr...
wał. Sa...
opłacić...
ra dosta...
to. Z dz...
larów m...
ekspona...
tam po...
niego m...
dach ci...
ciach s...
miski...
Sama s...
na była...
przepis...
na fran...
ski. I...
chowal...
szkół y...
uważa...
chorow...
go odr...
na lud...
Ta p...
wojnie...
spalili...
kamier...
odbudo...
żona, j...
mogła...
ła, i d...
je.

K
coś do...
ra mu...
Wresz...
woli...
chatki...
Izba p...
sadow...
Wspol...
ta wo...
Franc...
o świ...
Więc...
wej i...
gorzki...
—
nien...
tak j...
być...
się o...
gdzie...
ła. P...
moje...

kupił od Cygana, to już nazywał, że „liżwa”. Liżwa, liżwa, i tak już zostało. Kopycianki zapomnieli.

Te rogi, panie, dla dekoracji powiesili. Kurpie nie z nich nie robili. Może jakiś wieszak czy co. Leżało tego po lasach, panie, jak drzewa. Jeleń je co roku zbija, a na drugi jeszcze większe mu rosną. To był taki zwierz, co to go zabijając: wolno było. Tylko małą zwierzynę: zająca, lisa, wilka, kaczkę, gęś dziką. Jak jaka wojna miała być, to tutaj urządził król polowanie. Nabili wtenczas tego dobytka, tych turów, zubrów, tych rozmaitych niedźwiedzi, jeleni. Bezki naszykowali i mieli potem na wojnie czym żołnierzy pasć, ooo...

Z tych lasów, z tych dawnych Kurpiów, panie, to już niewiele zostało. Co się dało, profesor Chętnik w skansenie uchował. Dwudziestego siódmego roku było otwarcie. Profesor po sąsiedztwie, przez płot ze mną mieszkał. Dziesięć lat ode mnie był starszy, to nie żaden mój kolega, ale znali my się dobrze. Jego ojciec był cieślą. Książd go miał pod opieką i ciągle mu tam jakiś robotę dawał. A spryciarz był wielki. Wszystkie remonty robił: lawki, podłogi, konfesjonał. Nawet takie wielkie organy umiał naprawić. Musiał umieć, bo jedenaścioro dzieci mieli, to im się przecież nie przelewało. A on, ten Adaś, tak przy ojcu chodził, pomagał. W Nowogrodzie szkolkę rosyjską skończył, ale po prawdzie więcej samouk był. Potem z ojcem zrobili drewniany rower i na nim do Łomży, do gimnazjum jeździli. Trzy lata i gimnazjum skończył. Trzeba było wyjechać do Warszawy poszedł. Zaczął się tam błąkać. Jeść mu się chciało, panie, nie miał co. Nareszcie patrzy, ogrodnik kopie coś w ogrodzie: „Panie, a może ja bym panu pomógł?” „A ty — powiada — co tu? Do szkoły chodzisz i chcesz pomagać?”

„Jeszcze do żadnej nie wlaź. Na razie pomogę panu podkopać.” Zobaczył ogrodnik — kopie dobrze, a że w Warszawie o takich gospodarzy ciężko, wziął go, jedzenie i nocleg dał. Jak się Adaś do szkoły dostał, to i sobie jakoś poradził. Uczył się dobrze, korepetycje słabszym dawał. Sam mógł swoich nauczycieli opłacić. I tak się wyuczył. Profesora dostał, docenta. I ożenił się bogato. Z dziedziczką. Cztery tysiące dolarów miała w posagu, to za nie eksponatów rozmaitych nakupił. Ja tam powtarzać nie chcę, ale ona na niego nie bardzo mówiła. Po sąsiadach chodziła, narzekała: „O dzieciach swoich zapomnieli, tylko stare miski, potłuczone garnki kupuje”. Sama się do roboty wzięła. Nauczona była, to jej redakcja książki do przepisywania dawała. Z polskiego na francuski, z francuskiego na polski. I tak jakoś własną siłą dzieci chowała. Dwoje zmarło, dwoje do szkół wypchnęła, ale nie tak, jak uważała. Syn się zrobił pijak, zachorował na raka. Nie było komu go odratować. Tylko córka wyszła na ludzi.

Ta pierwsza żona, Zofia zaraz po wojnie zmarła, skansen ze szczętem spalili Niemcy. Kamień nie został na kamieniu. Profesor uparł się jednak, odbudować postanowił. Jego druga żona, Jadwiga, bardzo mu w tym pomogła. Długo tu ona cała panią była, i do dziś dnia w muzeum pracuje.

Kiedy cichną głośnie odhodzących, starszek znowu zapala papierosa. Zamysłony, mruczy coś do siebie czy do kota, który ociera mu się pieszczotliwie o nogi. Wreszcie decyduje się, człapie powoli w kierunku wyżej położonej chatki. Zamek ustępuje opornie. Izba pełna eksponatów. Starszek sadowi się na taborecie. Medytuje. Wspomina dawne Kurpie czy też lata wojennych tułaczek w Kanadzie, Francji, Polsce? A może rozmyśla o świecie, którego już nie rozumie? Więcej w jego spojrzeniu pobłażliwej ironii, zdziwienia, niż pretencji, gorzkiego rozczarowania.

— Ja kawaler od urodzenia. Pamiętnych pięknych nie brakowało, ale tak jakoś się złożyło, tak musiało być. Sam się ostatek. Wojną siostra się ożeniła, dwoje dzieci małych, gdzieżby ona sobie, biedna, radę dała. Pomyślałem, że nic z tego, z tej mojej żeniaczki. Anim się obejrzał,

jak dzieciaki podrosły, a ja się zestarzał. Ziemię im zostawiłem: „Wy młode, jak chcecie, tak robcie na niej”. Słyszę teraz, że prawdopodobnie oddali do państwa, choć niestary jeszcze. Jednego syna ożenił, drugiego, teraz córkę, ale żadne gospodarstwo się nie zajmie.

Nikt z naszych ludzi nie chciał się tu budować, bo góry takie, nieużytki. Ani wozem dojechać, kartofli przywieźć czy drzewa. Tylko kozy i owce chodzili po tych górach.

Powiadają, że we trzech ósemkach straszna woda była. Zatopiła moc i piachu na łąki naniosła. Toż to szkoda zrobiona raz na zawsze. Kiedyś ludzie krowy pasli, a teraz wszystko zaszło piachami. Zeszłego roku też zalało. Woda stała aż w tych chałupach. Mnie na mojej kolonii nad rzeką paśniki diabli wzięli. Kiedyś te ziemie kosztowały wielkie pieniądze, a dzisiaj tego pyłtu nikt za darmo nie chce brać. Choć po wojnie gorzej było. Wszystko spalone, zniszczone, wymiecione do czysta. Ni wody, ni konia, ni stodoły. Ciężko taką gospodarkę odbudowywać. Ciężko też było ją zostawić, ale myślałem, że młodzi lepiej porządzą. Na państwową robotę poszedłem. Do Łomży, do Kolna. Aż profesor Chętnik spotkał mnie raz i mówi: „Gdzie ty tam będziesz jeździł. Skansen odbudowuje, ludzi mi na miejscu potrzeba”. I mnie namówił. Plantowali my, płoty stawiali, nad rzeką, po boku, precz dokola. Potem majstry przyszlizli. Rozbierali, budowali. Ooo, za profesora było tu inaczej. Porządnie. Jedno z drugim trzymało się jakoś. Teraz coś nie bardzo. Profesor sam wszystko załatwiał, i rzeczy urzędowe, i muzealne. Kiedyś byli ludzie do roboty, a do rządu tylko profesor sam. Dzisiaj trzydziestu paru pracuje, dwóch czy trzech dyrektorów. Po prawdzie trzech sekretarzy na jednego robotnika wypadnie.

Najwięcej tu, w skansenie, mieszkam. Tu pracuję. Co sześć godzin się zmieniamy. W nocy i w dzień. To jest państwowe i trzeba tego pilnować. Wszyscy my ha emeryturze. Te same czasy pamiętamy. Z młodych nikt tu nie przyjdzie. Teraz wszyscy specjaliści się porobili. Nawet na polu nie dadzą pracować, jak kto szkoły rolniczej nie skończył. Przychodzą i namawiają: „Oddaj to pole, dostaniesz pieniędzy, i oddaj, bo teraz bez nauki nie może być gospodarstwa”. Kiedyś kto się czego nauczył, to mu dobrze. Tylko że to nie wychodzi podług starej gospodarki. Kiedyś była trzypolówka i my wiedzieli, a teraz każą co rok siał. Nawozy dają, ale jak porosło żyto, to na sześćdziesiąt centymetrów... Trzypolówka była. Jeden rok musiało pole leżeć. Dzisiaj nie dają tej ziemi spokoju. Żeby odpoczęła trochę. Tylko dawaj i dawaj. Wypłuczą ją. Sztuczne nawozy czasem pomagają, czasem wypalają. To nie jest pewne. Mówią, że ludzie teraz więcej jedzą, ale gdzie to prawda? Kiedyś też jedli, i jedli do syta. Niczego nie brakowało. Naskrobała gospodyni kartofli, polewki nagotowała, okraszyła słoniną, i to było zdrowe. Mało kto chorował. Nikt nie wiedział nawet, że trzeba iść do doktora. A teraz gdzie nie zajdziesz, pełno narodu, w kolejce stoją, i wszystko chore. Za darmo dają te leki, to weźmie taki jeden z drugim, potem na śmieci. Nawet nie odpieczętuje. I po co doktorowi głowę zawracać? Ja tam nie chodzę po doktorach. Po starodawnemu świata używam, to i nie choruję. Raz-em się tylko przebrałem, przepuklinym dostał. Poszedłem do przychodni. Zaczęli mnie badać. Nareszcie pytają się: „Ma pan kaszel?” „No, czasem zakaszle”. „Hm. Nie możemy operacji robić, bo się cały rozerwie. To pan poczekaj”. Przepisali mi jakiś pas ochronny. Przepasałem się raz, dru-

gi, ale jak za robotę się wzięłem, to i pękł na dwa kawały. Bez pasa cnotyłem, aż za jakiś czas na powrót wylazła.

To znów do doktora: „Panie doktorze, bo przepuklina mi dokucza.” „A to nie do mnie należy, bo to nie ja od tego fachowiec. Do Łomży. Oni tam wiedzą.”

W Łomży powiada: „Trzeba do Białegostoku jechać.”

A niech was cholera weźmie. Zanim do Białegostoku dojadę, kopyta wyciągnę. Poszedłem do domu, przepuklina mnie doskwiera. Myślę: wepchnę ją. Przyjdę tu, do tego stołu, jak się rogiem oprę... Tak weszła nareszcie i teraz mam spokój.

Jak zatwardzenia znowu dostał, też mi do Białegostoku kazali jechać. Jakichś guzików w kioskach odchodową wpychać. Powiadają: „Odejdzie panu”. Uwierzyłem im. Wpychałem. Gdzie zaś. Nie chce leżeć. Nareszcie mówię: „Diabli z waszym lekiem!” Oleju wypilem, za dwie godziny już mi się brzuch zrobił miękki.

Kiedyś żyli my tu normalnie. Teraz patrzą na nas jakby to my inne byli odmienne jakie. Choć niby czasem pokazują, jak było dawniej. Nawet telewizja przyjedzie. Muzyka gra na słupach. Tańczą. Tego roku rajby urządzili. Gości naspraszali. Ale grali tylko. Gdzieżby tam kto się naprawdę żenił. A może się i żenił. Teraz tam bardzo patrzą. Po ślubie jeden, dwa tygodnie, to już dziecko. Kiedyś to był grzech, nikt o takich rzeczach nie myślał, a dzisiaj, panie, czternaście lat to już gania się, że mało ją diabli nie wezmą. A później krzyku narobi, do matki, do doktora. To trzeba tego, to skrobaczkę. Ej, panie, teraz świat się przeinaczył, do góry przewrócił, nie tym bokiem leży.

DANUTA SOBOLEWSKA
ALEKSANDER WRONISZEWSKI



1

ROZDZIAŁ

Łomża nie była miastem jego dzieciństwa. Znalazł się w niej przypadkowo, kiedy ojciec otrzymał nominację na dyrektora szkoły. Mierniczkówka mieściła się koło parku, skąd miał kilka kroków do gimnazjum. Kontrast z Warszawą był wielki. Upięknienie sporo czasu, nim się adaptował. Nauka nie sprawiała mu trudności, poziom szkół stołecznych był wyższy, lecz atmosfera małego miasteczka, zainteresowania kolegów, dwa zaledwie kina, jeden Dom Ludowy, brak teatru, nastrojały go sceptycznie.

Natomiast miasto polubił szybko: zieloną skarpe, schodzącą prosto w głęboki nurt Narwi, z kąpieliskami przy drodze, osobnymi dla chłopców i dla dziewcząt; klocki domków robotniczych dzielnicy Rybaki, trzymające się kurczowo brzegu; nauczycielskie seminarium w parku na wzgórzu i — sąsiadujące z nim — żeńskie gimnazjum; wyniosłą ewangelicką kirkę; plac Kościuszki, który wieczorem stawał się „deptakiem”; ulicę Krótką i Dworną z bankiem kupieckim, Stary Rynek z ratuszem i dzielnicę żydowską, pełną zakamarków i sklepików.

Adam Targowiak, pozbawiony dawnych kolegów, dużo czytał, próbował pisać krótkie opowiadania, notował w dzienniku wydarzenia. Miał opinię dobrego polonisty. W matematyce nie był celujący; lubił łacinę, może nie ze względu na przedmiot, lecz urodę nauczycielki. Maria Łacka przyjechała do Łomży również niedawno, otoczona tajemniczością. Adam natomiast niepotrzebnie zraził sobie dyrektora gimnazjum, Mariana Obidę, lekceważąc język niemiecki, zwłaszcza nudną gramatykę. Z historią był w systematycznym konflikcie. W sumie były to drobne nieporozumienia, nie zmieniające faktu, że zima mijiała nudnie i opornie. Pisywał do kolegów z Warszawy, chodził na łyżwy. Szron mienił się w drzewach i Łomża gubiła się w opadającej mgle.

Targowiak był chłopcem wysokim, dobrze zbudowanym, o szerokiej, nieciekawej twarzy i blond włosach. Jego oczy zwracały uwagę, szare, prawie zielone, bystre. Polityką Adam interesował się dorywczo, bez przekonania, raczej szukając odpowiedzi w dziełach literackich niż w broszurach Okrzei. Nie bez wrażenia przeczytał „Płomienie” i „Dzieje jednego pocisku”. Wiersze Norwida i Micińskiego próbował naśladować, lecz bez powodzenia. Przeżyciem stały się utwory Lechonia i Wierzyńskiego. Mickiewicz mniej przemawiał do jego wyobraźni niż Słowacki. Pewnego dnia wpadł mu w ręce Majakowski, i stał się źródłem niejednej fascynacji. Dopiero jednak krakowskie wypadki zaprowadziły go do Ludowego Domu. Przemawiał, z ramienia PPS, dr Mieczysław Czarnecki, poseł miasta Łomży. Nazajutrz Adam został wezwany

do gabinetu dyrektora Obidy. W rozmowie brał udział ich wychowawca, historyk, Jan Pięta. Targowiak nie umiał wyjaśnić swojej obecności w Domu Ludowym, poproszono więc ojca, który wrócił ze szkoły bez słowa, i to było najgorsze.

W kilka dni później zbliżył się do Adama Staszek Szymkowiak z VII b i zagadnął go niby od niechcenia.

- Bardzo się dyrek piekili?
- Chciał wiedzieć, po co tam byłem.
- A ty?
- Powiedziałem, że nie wiem.
- Pięta indagował cię?
- Pytał mnie, z kim i dlaczego?
- Patrzcie go, szpicel.
- Wiadomość o wiecu przeczytałem w gazecie.
- I poszedłeś?
- Adam wzruszył ramionami.
- Ojciec cię opierdolił?
- Nie rozmawiał ze mną.
- Stary jest bardziej mądry, niż myślisz. Lubią go w tej Mierniczkowce, nie to, co Obida.
- Obida nie ma tu nic do rzeczy.
- A kto?
- Może robotnicy.

Tak zaczęła się ich przyjaźń. Szymkowiak pochodził ze wsi i mieszkał na stacji. Miał siostrę, różnieśc Adama, która czasami go odwiedzała. W ten sposób Targowiak poznał Zośkę. Staszek i Zośka mieli w sobie coś z chłopskiej nieufności. Ich wuj był kierownikiem Domu Ludowego. Zorganizował Towarzystwo Uniwersytetów Robotniczych i tam wykładał. Od niego Staszek dowiedział się o obecności Adama na wiecu. Spotykali się często. Łączyła ich niechęć do środowiska szkoły i ambicja: nie dać się belfrom w rodzaju Obidy i Pięta.

Pewnego wieczoru Targowiak spotkał Zośkę, gdy wracała z niesporów. Przywitali się. Mróz był biały, lepił się do ulicznych latarni. Zośka, ładniejsza niż zwykle, uśmiechnęła się bez przymusu.

- Chodzisz na niespory? — spytał.
- Tak, a ty? Jesteś niewierzący?
- Dlaczego? Co niedziela idę do kościoła.
- Też mi coś. Modlisz się?
- Byłem na bierzmowaniu.
- A teraz?
- Sam nie wiem. Co mnie tam! Kościół, chóry, spowiedź, nie są mi potrzebne.
- Popatrzyla z niedowierzaniem.
- Czego wydziwisz? Na wsi wszyscy są wierzący, mimo że ojcowie księży nie lubią.
- A widzisz, tak już jest.
- Niby co?
- Nam kościół nie jest potrzebny.
- Człowiek musi być lepszy, dlatego chodzę na niespory.
- A ja rozmawiałem z Bogiem.
- Zwirowałeś?
- To było dawno, ale rozmawiałem.
- Kłamiesz!
- Na łąkach Narwi śnieg, rozlewiska, szron, biała noc. Nikogo. Miałem groblę. Pod wierzbą siedział Chrystus. Był smutny.
- Nie bałeś się?
- Czego? Kazał mi usiąść, usiadłem. Milczał, milczałem również. Gdzieś za chmurą księżyc się uwiesił i wtedy dostrzegłem jego włosy. Zapytałem, dlaczego jest smutny?

- A on?
- „Bóg mnie opuścił. Chodzę po ziemi bez jej zbawienia”.
- Chrystus zmartwychwstał.
- Nie przerywaj, Zośka. Krużynki śniegu znosił wiatr i osadzał na krzyżu. „Stać się człowiekiem-odkupicielem — powiedział Chrystus — jest równie trudno, jak przynieść boskość na ziemski padół”.
- I co? Co dalej?

— Zdjął krzyż i postawił na śniegu. Padł długi cień. Jezus rzekł: „Idę codziennie tędy i ty pójdziesz, aż cień się urwie i przyjdą inni, a ty pomyślisz, że Pan cię opuścił. Nie żebym o tobie zapomnieli, lecz stworzył świat, wobec którego stał się bezbronny. Przeżył własną śmierć jest trudniej niż swoje życie. Odkrył w sobie człowieka boleśniej niż zostać opuszczonym. Będziesz wybierać między kamieniami, które staną się twoją Golgotą, nie moją”. Podniosłem głowę. Stał krzyż, prosty, chłopski krzyż, zapomniany w ludzkiej niedoli.

- Zmyślasz?
- Tak?
- Po co?
- Nie wiem.

Zocha odwróciła się i poszła. Nawet nie powiedziała „dobranoc”.

W sprawie wypadków krakowskich Adam otrzymał list od Julka Skrzyńskiego z Warszawy. Pisał, że założono w szkole Związek Polskiej Młodzieży Socjalistycznej. Radził uczynić to samo. „Spotkamy się na zjeździe w Krakowie. Zamierzamy go zorganizować w przyszłym roku”. Targowiak pokazał list Szymkowiakowi. Staszek długo czytał i kręcił głową, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Nie podoba mi się — powiedział wreszcie.
- Co ci się nie podoba?
- Ta cała organizacja. Gówniarstwo. Pobucza, pobucza i pójdą do żłobu. Tak jak ty.
- Dlaczego: jak ja?
- Zobaczysz.
- Nie wszystkim to pisane.
- Nie o pisane się rozchodzi, a o to, co jest.

W sobotę karnawałową otrzymali zaproszenie do Marcinkowskich. Dr Marcinkowski był chirurgiem, ordynatorem w miejskim szpitalu, i cieszył się szacunkiem. Był wdowcem. Miał dwóch synów i córkę. Wicek był w ich wieku. Romek kończył podchorążówkę. Irena, nieco młodszą, robiła wrażenie panny. Dr Marcinkowski spotykał się ze starym Targowiakiem na partyjkach brydza. Plotki mówiły o masonerii. W każdym razie należeli do elity miasta i nie bywali w Towarzystwie Kupieckim, gdzie rej wodził notariusz Parnicki, stały konkurent dr. Czarneckiego z ramienia Narodowej Demokracji podczas wyborów do Sejmu. Syn Parnickiego, Józek, był kolegą Adama. Łączyło ich czytanie, studiowali Darwin. Na sylwestrowym wieczorze wspólnie obijali się po kątach, zanim Irena nie wciągnęła ich do koleczka, które prowadził Romek.

Najwięcej Adam tańczył z Zośką. Nie wrócił do poprzedniej rozmowy, ale powstał między nimi kontakt, z którego Adam nie bardzo zdawał sobie sprawę. Podczas zabawy w „pieczęcie” odważył się Zośkę pocałować. Nie odepchnęła go i zaprosiła do następnego walca.

- Cieszysz się, że przyszedłeś?
- Tak. Ze względu na ciebie.
- Tylko?
- Łatwo mi się z tobą tańczy. Wypiłem tylko kieliszek wina i chyba jutro pójde na niespory.

Dobrze po północy udało mu się jeszcze raz Zośkę pocałować i wtedy dostrzegł wysoką sylwetkę Romeka w mundurze podchorążego. Romek zaprosił go do sąsiedniego pokoju na kieliszek wina.

— Bądźmy na ty. Jak na swój wiek dajesz sobie radę. Opowiadał mi o tobie Wicek. Podobno przyjaźnisz się z Szymkowiakiem i czytasz Darwin?

Gest ręką. Targowiak nie potrafił odpowiedzieć.

— Zazdroszczę ci. Gruby buch, nigdy nie potrafiłem go przeczytać do końca. Zdecydowałem się na karierę wojskową. Nie jest to sprawa zamilowania, ale trzeba po coś istnieć. A ty?

— Jeszcze nie wiem — bąknął Adam i sam zawstydził się swojego onieśmienia. Czego mógł Romek chcieć od niego?

— Tak czy inaczej na Zośkę jesteś za mały — roześmiał się Marcinkowski. — Darwin ci nie pomoże.

Adam nie odezwał się. Patrzył, jak Romek wstał i wyszedł z pokoju. Targowiak odnalazł Irenę i zaprosił ją do tańca.

— Świetnie tańczysz — szepnęła Irena. — Jesteś wyższy, niż myślałam. Zośka musi być wściekła.

Zrobiło mu się przykro. Irena była ładniejsza od Zośki, bardziej „szykowna”, lecz Zośkę lubił. W pokoju było zbyt wiele osób, by mógł ją dojrzeć. Drażnił go gwar podekscytowanych głosów, spośród których nawet swego nie rozróżniał.

Gramofon umilkł. Adam odprowadził Irenę na miejsce, a sam skierował się do wyjścia. W przedpokoju natknął się na, ubraną w płaszcz, Zośkę.

- Odprowadź mnie.
- Poczekaj, włożę palto.

W latarniach prószył śnieg i skrzył się na mrozie. Plac Kościuszki był pusty i biały; tak biały, że aż piękny. Powiedział o tym Zośce. Nie reagowała. Skreślił z Krótkiej w Dworną. Teren nieco się wznosił i należało iść wolno. Targowiak wziął Zośkę pod rękę.

- Chłodno mi — szepnęła i przytuliła się mocniej.
- W zimie zakochałem się po raz pierwszy — powiedział od rzeczy Adam.
- Kiedy? Nie miałeś jeszcze czasu się zakochać.
- Dzisiaj. Tańcząc z Ireną, pomyślałem o tobie.
- Et, gadasz.

- Wszystko przeżywałam naprawdę. Pustkę i nasze spotkania.
- Jutro będziesz?
- Tak. Pójdę do ciebie na Starym Rynku.
- Lubię niespory. Nigdy nie śpiewałem w chórze?
- Nie.

— A ja śpiewałam, w naszym kościółku na wsi. Ksiądz proboszcz mówił, że mam piękny głos. Zaczęłam chodzić na lekcje do organisty. Przyjedź do nas w lecie.

- Wezmę rower i wpadnę do was.
- Nasze sosny są niskie i siedzą blisko ziemi. Kurpie to piach, las albo biota. I borówki, które wiszą na krzakach. Grzyby. Twarde, małe prawdziwki i rydze, jakby zdziwione, nieco uspięne w cieniu, twarz

do słońca. Rodzice postawili młyn nad Ryką; taka rzeczulka w Narutach, gdzie mieszkamy. Nawet staw ojciec wykopał i zapuścił karpie.

— Przyjadę, pomówię ze Stachem.

Zatrzymali się przed bramą, gdzie mieściła się stacja Zośki. Była za- różowiona. Objął ją i pocałował. Uciekla na schody, lecz nie gonił jej. Pomyślał o tej jednej chwili, która się nie powtórzy. Zapach skóry dziewczyny, muśnięcie włosów. Mógł ją dogonić. Schody były ciemne. Za? Nie. Wzruszenie? Nie potrafił swojego stanu określić. Mi- nał fary, skręcając na plac garnizo- nowego kościoła. Dmuchał wiatr śniegiem, w latarniach tańczyły płatki. Łomża, po której chodził, stała się jego miastem.

W szkole rozmawiali z Wickiem i Staszkiem o zabawie.

— Masz ładną siostrę — powie- dzał w pewnej chwili Adam.

— Irena? — zdziwił się Wicek — Taka sobie. Sądzilem, że podobna ci się Zośka.

— Dlaczego Romek postanowił być oficerem? — uciekł od tematu Adam.

— Bo głupi — wtrącił się Szym- kowiak.

— Może nie głupi — bronił brata Wicek — ale nie wie, co z sobą po- cząć.

— A ty?

— Będę lekarzem, jak ojciec.

— A ja weterynarzem — zauwa- żył zgryźliwie Szymkowiak. — Jes- tem też wsi i na medycynę mnie nie stać.

— Nikt nie wie kim będzie — wzruszył ramionami Adam. — My- ślałem o prawie, by od czegoś za- cząć, potem zobaczę.

— Zośka wybiera się na denty- stykę — dodał Staszek.

— Irena marzy o handlu zagra- nicznym. Mąż, podróże.

— Jeszcze jedno powstanie robot- nicze — odezwał się nagle z przeko- rą w głosie Adam — i nas wszyst- kich pogonia.

— Decydować będzie chłopstwo. Wieś jest kolebką narodu.

— Mnie rewolucja jest niepotrzeb- na — medytował Wicek — należy uczyć ludzi pracować. Oświata, na- uka. Każdy dla siebie: a będzie dla wszystkich. Politycy wymyślają partie, by szukać zajęcia.

— Żeromski nie organizuje partii, a bez niego naród byłby Towarzy- stwem Kupieckim — Adam sam nie wiedział, skąd się w nim brała ta złość.

— A jeżeli nawet? Lepsze to niż rewolucja.

— O czym wy mówicie — zachnął się Szymkowiak — przed nami ma- tura i rozmowa z ojcami, co zrobić, by starczyło na czesne?

— Dzwonek, czas do klasy — ryk- nął przechodzący obok profesor Pię- tak.

Targowiak z Zośką spotykali się na nieszporych niemal co drugi dzień. Nawet polubił nawet kościelną, w której mógł ob- serwować szczupłą sylwetkę i płową główkę Zosi. W takich chwilach myślał o sobie więcej niż o niej, i to w sposób bliżej nie określony. Dawny gwar Warszawy pozostał da- leko, może nawet i sprawy, którymi żył kiedyś. Ze szkoły wracał do do- mu, by odrobić lekcje, a potem cze- kał na Zośkę i włóczyli się po mie- ście, wydeptując w miejskim parku ścieżynki na śniegu. Czasami przy- stawiali, by objąć się i pocałować, a potem szli dalej. Z Szymkowiakiem na temat Zosi nie rozmawiał.

Kiedyś w księgarni zaczęła go Irena i kazała się odprowadzić.

— Jesteś bardzo pobożny — pro- wokowała, śmiejąc się w futrzany kołnierz — podobno rozmawiasz z Bogiem?

— Kiedyś mówiliśmy o tobie.

— Proszę? Do tego stopnia?

— Każdy miał swoją Magdalene. Chrystus również.

— Nie bluźnisz?

— Szukam usprawiedliwienia.

— W stosunku do kogo?

— Własnego postępowania. Dla- czego tak zastaniasz twarz?

— Z przyzwyczajenia. Widziałam, że kupowałaś „Ogród udręczeń”. Lu- bisz takie książki?



— Tak. Nie wiem dlaczego, ale wówczas myślę o tobie.

— „Ogród udręczeń”? Okropne. Całą noc nie spałam. Po co wam są potrzebne prostytutki?

— Nie wiem.

— Głupi jesteś.

Irena udawała obrażoną i jakiś czas szli w milczeniu. Zabudowania szpitala były blisko. Irena zatrzy- mała się.

— Chcesz, pójdziemy do kina. W „Reducie” grają jakiś romans z Po- lą Negri. Podobno chodziła do szko- ły w Łomży?

Kino było pustawe, więc — pochy- leni — mogli szeptać. Irena wysu-

ochłonił. Film zbliżał się do koń- ca, a kiedy wyszli, obiecał wpaść do Marcinkowskich.

— Przyjdź z „Ogrodem udrę- czeń”, będziemy mieli o czym roz- mawiać.

Minęło jednak kilka dni, zanim u- mówili się na popołudnie. Zośka do- wiedziała się o ich schadźce i zro- biła mu awanturę. Nie próbował się tłumaczyć. Szymkowiak powiedział kiedyś, że dziewczyny są po to, by odkrywać w nich własną miłość.

Musiał to gdzieś przeczytać. Lektura „Plomieni” Brzozowskiego pochło- nęła go na tyle, że w kole humanis- tów zaproponował własny referat. Kołem opiekowała się Maria Łącka.



neją z palta rękę i dłonie ich się spotkały. Pola Negri całowała part- nera na ekranie, pokazując białe fałbanki i długie nogi w czarnych pończochach. Adam poczuł na twa- rzy skroń Ireny i musnął jej włosy.

— Jesteś niezdolny — szepnęła — co ty ze mną wyrabiasz. Spóźnisz się na nieszpory.

Nie próbował się bronić. Na nie- szpory było zresztą zbyt późno. Ki- nowy grajek zalkiwał się na forte- pianie, podwiałki Ireny były bliżej, niż myślał. Odsunęła jego rękę.

— Po co? Będą plotki. A jutro i tak pójdiesz do kościoła.

Propozycję przyjął z niedowierza- niem, ponieważ jednak Targowiak był prymusem, wdała się z nim w rozmowę.

— Co ci przyszło do głowy?

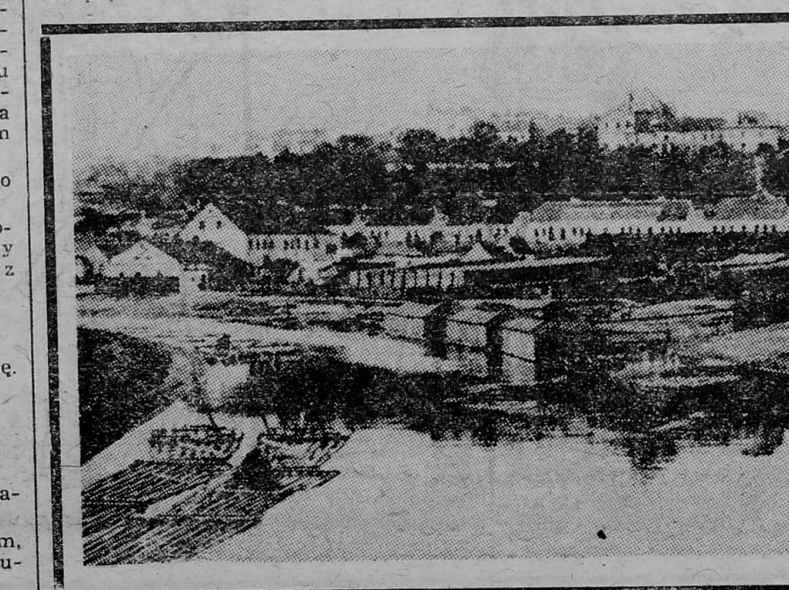
— Brzozowski obnażył prawdę re- wolucji.

— Prawdę? Jaką prawdę? Wojna domowa jest rzeczą okrutną.

— Każdy kraj przeżywa własną rewolucję.

Zdumiała się.

— Daleko z taką filozofią nie zaj- dziesz. Trzeba tysiąc razy zajrzeć w oczy własnej śmierci, nim wyzwo- li się człowieka, nawet w sobie.



— Niech mi pani pozwoli. To dla mnie bardzo ważne.

Łącka skrzyżowała piękne nogi i zapaliła papierosa.

— I co ci z tego przyjdzie? Dy- rektor Obida ogłosi cię komunistą. Profesor Piętak zacznie was tępić. I pamiętaj, Brzozowski żył pod pre- gierzem opinii. Zanim wygłosisz re- ferat, przeczytaj jego „Legende”.

— Nie powiem o polskiej re- wolucji, a „Legenda” uzupełni mój referat.

— Słowo?

— Tak.

— Wobec tego zgoda.

Targowiak pochylił się i ucałował dłoń Łąckiej.

— Zwanowałeś? Jeszcze ktoś wejdzie. Będą plotki. Nie masz ich dosyć?

Zośka wiadomość o referacie przyjęła obojętnie. Natomiast Stach zapalił się i długo dyskutował, jak postawić problem znaczenia rosyj- skiej rewolucji dla przyszłości Pol- ski.

Nagle Szymkowiak spytał: — Nie sądzisz, że ona ma śliczne nogi?

— Kto?

— No, Łącka. Gdy schodzi z kate- dry, nie mogę oderwać oczu. Jest ładniejsza od wszystkich dziewcząt.

— Zapewne masz rację, ale nie o to chodzi.

— Referat? Tak, referat należy wygłosić. Ale pamiętaj o Łąckiej.

Wizytę Marcinkowskim złożył Adam na kilka dni przed wy- głoszeniem odczytu. Przyjęli go serdecznie. Piękny dzień poz- wolił otworzyć okno i w dużym sa- lonie pełno było światła. Podano herbatę, ciasteczka; usługiwała Ire- na, ale prosiła, aby bez niej nie za- czynać rozmowy. Siedzieli z począt- ku w czwórce — doktor, Wicek, I- rena oraz Adam — i rozmawiali o „Plomieniach”. Najmniej wypowia- dał się Wicek, robiąc wrażenie, że powieść zna raczej z rozmów niż z lektury. Doktor Marcinkowski twierdził, że losy rewolucji polskiej będą inne niż rosyjskiej.

— Własna rewolucja to jeszcze nie komunizm — podkreślał z na- ciskiem — lecz nasz jedyny ratunek przed utratą osobowości. I to mu- sisz w swoim referacie powiedzieć.

— O czym wy mówicie? — zdzi- wiała się Irena.

— Jesteś cipka i tyle — zawyro- kował Wicek.

— Synu, jak się wyrażasz?

— On jest zawsze taki, byle mi dokuczyć.

Adam skorzystał z tej wymiany zdań, by nie zabrać głosu. Doktor Marcinkowski udał się na wieczor- ny dyżur do szpitala. Irena zabrała Targowiaka do swojego pokoju, gdzie przytuliła ich mała sofka. Mówili o głupstwach, które potrzebne są tylko po to, aby w przerwach móc się całować. Irena była nie- zmordowana, ale pilnowała, by nie przekroczyć pewnej granicy.

— Ojciec! — krzyknęła w pewnej chwili, usiłując poprawić sukienkę i wzburzone włosy. Lecz doktor Mar- cinkowski bynajmniej nie spieszył się z zajrzeniem do pokoju i dopie- ro po dłuższej chwili zawał Irene, by przygotowała kolację.

— No i co, młody człowieku, o- mówiliście z Ireną tezy referatu?

Adam pod byle pozorem pożegnał się i poszedł do domu. Nawet nie zdążył mówić się z Ireną. Może nie chciał, może nie potrafił. Idąc pustymi ulicami, nie mógł pozbyć się wrażenia, że Łomża na przed- wiośniu, pozbawiona śniegu, brudna i źle oświetlona, nagle zbrzydła, po- smutniała i stała się bardziej obca, niż sądził. Zwolnił kroku i pomy- ślał o Zośce. Nie był wobec niej w porządku. Właściwie — dlaczego? Przez prosty zbieg okoliczności? Czy w takich przypadkach nie można na siebie liczyć? Więc na kogo. Zośka była uczciwą dziewczyną i kochała go. A on? Nie był tego pewien. I tu zaczynał się problem Ireny. Nie u- czucie. Więc co? Przypadkowa blis- kość? Unikać podobnych spotkań. W imię czego? Dla Zośki? Poczuł się zmęczony i by uciec przed sobą — przyspieszył kroku.

NORMALNY?

Na czym to wszystko polega? Czym jest i jaka jest norma określająca czyjąś normalność?

Klasyczna „norma” to była węgielnica — jakaś podziałka, przyrząd do sprawdzania pewnych właściwości. Potem — szerzej: norma oznaczała już przepis czy regułę. I tak już zostało, przy czym norma, jaka dotyka nas na co dzień (tzn. zdanie coś regulujące — nakaz albo zakaz), jest właściwie ciągle jeszcze przyrządem, swoistą węgielnicą do odczytywania stanów rzeczy. W ten sposób, powie Czesław Znamierowski, norma może być miernikiem tego, co już istnieje, a także może być wskazaniem, jak ukształtować to, co być powinno. Norma zatem to dwie normy. Raz opis tego, co jest, innym razem wskazanie tego, co ma być. Norma — byt i norma — powinnoś.

„Częste”, „powszechne”, „zwyczajne” — ten sens normy prowadzi nas prosto do statystyki. Kojarzmy ją wtedy z czymś „średnim”, „przeciętnym”. Przenieśmy ją ze statystyki do moralności. Wszyscy (większość) coś robią, jakoś wartościują — i ja tak samo, podobnie. Jestem normalny, bo mieszcę się w normie. Jestem zdrowy psychicznie, bo nie odchylam się ani nie wychylam. Ta normalność polega na typowości; o moim stanie orzeka otoczenie, sądząc mnie życzliwie, robi to jak gdyby beze mnie, nie

widząc mnie, bo gdybym dał się zauważyć, gdybym się wyróżnił — byłoby po życzliwości.

Norma, która — negując i przewidywając byt — wskazuje powinność, to dopiero sens normy, w którym słowo nie przeczy elementarnym intuicjom językowym. Norma ta odwraca się od normalności pojętej na sposób statystyczny. Ktoś, kto widzi w normie imperatyw zniewalający ku czemuś cenionemu, niekoniecznie istniejącemu (czy nawet koniecznie nieistniejącemu), ma chyba rzeczywiście wygląd osoby nałogowo kręcącej nosem. Lecz w takim razie nazwijmy buntownikiem bez powodu (pamiętacie Jamesa Deana?) każdego, kto wartościuje świat i ludzi w kategoriach moralnych — o ile, oczywiście, odważymy się wcześniej uznać samą moralność za jakiś pseudopowód czy rację urojoną.

Miesza się, kto normalny, kto wariat. Urząd Statystyczny oraz Instytut Profilaktyki Społecznej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadziły badania wśród 500 warszawiaków i stwierdziły, że takie cechy, jak altruizm, uczciwość czy pracowitość, to dewiacje społeczne. Czy jest to diagnoza społeczna (uczciwość to wyłom w normie statystycznej), czy cyniczna trzeźwość moralna (uczciwość nie jest czymś szczególnie cennym moralnie, bo się nie „opłaca”; w moralności też można kalkulować)?

I jedno, i drugie zapewne; konstatacja niewesołego stanu rzeczy mieści się tu z deklaracją moralną, bo nie można uciec od moralności.

Mickiewicz piszący „Improwizację” — czy był człowiekiem sięgającym wyżyn swego geniuszu, czy (już) mającym? Bo nie był przecież normalny z punktu widzenia statystycznego psychiatry. Szkoły dla dzieci nienormalnych (upośledzonych) i dla utalentowanych — jak je od siebie odróżnić? Testami?

Nie każdy „inny” jest od razu „lepszy”. Od normy statystycznej odbiegają malarz i morderca, tylko że w różne strony. Tu wartość z plusem, tam z minusem. Powinno napisać: „dla mnie”, bo są przecież wybory wartości, gdzie trudno odrzucić się nawet o powszechność ich aprobaty czy potępienia. Może dlatego, że niewiele wiemy o wartościach w ogóle — raczej je „czujemy”. Jednak na jakieś wartości i tak się decydujemy; jedne są nasze, inne odrzucamy, o innych w ogóle nic nie wiemy; nie wiemy nawet, że mogą być.

Jestem normalny, gdy mam wartości i znam je dość dobrze. Ale jakie to są wartości — nie jest bez znaczenia. Tu dopiero można rozpocząć dyskusję.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

Określenia takie, jak „normalny” („nienormalny”), odnoszą się do kondycji człowieka; nie nazwiemy jednak „nienormalnym” kogoś, kto ma katar, ani nawet tego, komu amputowano rękę. Niechby jednak próbował inaczej i po swojemu sądzić, oceniać, czuć czy chcieć, niechby się w związku z tym odmiennie ubierał, gestykulował czy wykrzywił w stereotypowych sytuacjach — o tak, wtedy jest to już ktoś nienormalny — czyli wariat. Wariatów leczymy, choć — szczerze mówiąc — jest to jeden z humanitarnych kaprysów ludzkości, potrzebnych jej, lecz nie pomylencom: tym już nic nie pomoże i nigdy nie będą normalni. Kiedy raz poczuli się osobni — nie zechcą wrócić do wspólnoty; ich pojedynczość staje się niepotrzebna dla masy i właściwie można by na nich położyć kreskę. Wtedy czasami się ich skreśla.

Rysunek Stefana Wielgusa



KTO JEST

(Nagrania nentu w V

SZEFOV
pan teraz
czyłam. P
PERSON
SZEFOV
Symbol?
PERSON
SZEFOV
PERSON
SZEFOV
SZEFOV
ile?
PERSON
pięć złotych
SZEFOV
czydel)
PERSON
SZEFOV
sztuki, że
wartość.
PERSON
SZEFOV
PERSON
PERSON
wracanych

SZEFOV
lony do
Petersbur
chodziła
na różne
wpłyneł
gotki ma
letu, i p
jest, to n
na. O ta
dzie mys
zostało
je mi sp
męczę, j
tym. I ż
dzie czas
Goniadza
stwo, kto

ANDRZEJ BARTOSZ
WIESŁAW JANICKI

rozumie
pięta, że
jakiś m
wtedy i
rosła do
coś dob
niadza.
cona i
łabym i
obserw
rolę kto
tak w
mi sie,
la, że j
czej... p
la w t
Bardzo
podpow
jakiś g
takiego
kółka o
Wszyst
nauczy
takien
starsi
między
zauważ
grałam
ne, wie
nego m
grałam
le, pos
później
w sztu
„Gwałt
główna
to zag
mówio
lej?

PER
SZE
PER
pięć.
SZE

(Nagrania dokonano podczas remanentu w Wiejskim Punkcie Sprzedaży Pomocniczej)

SZEFOWA: Proszę pana, co mnie pan teraz podaje? Bo już ja skończyłam. Proszę!

PERSONEL: Wiadra emaliowane.
SZEFOWA: Wiadra emaliowane... Symbol?

PERSONEL: CH trzy, kreska dwa.
SZEFOWA: Kreska dwa... Sztuk?
PERSONEL: Sztuk trzynaście.
SZEFOWA: Sztuk trzynaście... Po ile?

PERSONEL: Po dziewięćdziesiąt pięć złotych.

SZEFOWA: Dziękuję. (stukot li-czydeł)

PERSONEL: Wiadra cynkowe po...
SZEFOWA: Najpierw chodzi o sztuki, żeby ilość grała. Później wartość.

PERSONEL: Sztuk — jedna.

SZEFOWA: Jedna?

PERSONEL: Zaraz... (łomot przewracanych wiader, garnków itp.)

SZEFOWA: Ja mam taki pęd szalony do sztuki! Byłam urodzona w Petersburgu i właśnie mama, kiedy chodźla ze mną w ciąży, chodźla na różne teatry. I widocznie to coś wpłynęło na to, że całe życie ciągotki mam do tego teatru, do baletu, i po prostu nieraz jak balet jest, to muszę sobie trzymać kolan. O tak! Nie wiem, jak tam ludzie myślą, ale ja tym żyję. No i to zostało w mojej pamięci, i nie daje mi spokoju. Ja się tylko z tym męczę, a bym stała coś myślała o tym. I żal mi słuchać, jak przyjeżdżie czasem Teatr Węgierki tu, do Goniądza, i mam takie towarzysztwo, które siedzi obok mnie i nie

PERSONEL: Zaraz. Chwileczkę, chwileczkę... tak, czterdzieści pięć.

SZEFOWA: Pan odpocznie trochę. Z muzyką spotykam się dość często, może dlatego, że śpiewam w chórze. Nieraz takie dobre utwory śpiewamy, takiego Grubera na przykład. Przepiękne „Ave Maria” to znamy w trzech wersjach. Jest cudowne! W miejscach niektórych przystaję i słucham, jak dobrze śpiewamy, to... to po prostu schylam się i płaczę. Byłam kiedyś w Dusznikach Zdroju, w sanatorium, i tam takie były koncerty Chopinowskie. To ja zaszyję się gdzieś między ludźmi, schylam się aż pod ławkę, przymknę oczy, i mnie zdaje się, że jestem gdzieś w przedśionku jakimś niebiańskim... Tak mi jest tam dobrze, dusza moja czuje to piękno, tak aż mnie rozpiera, i tak boję się, żeby mnie stąd nie zabrano. I pewnego razu właśnie jakiś dziennikarz przychodzi właśnie i pyta: „Czy mogę za-pytać, czy pani ma coś z muzyką?” Mówię: „Mam troszkę na co dzień, ale... ale więcej nie mogę gdzieś dojść do muzyki większej, ponieważ nie mam wykształcenia.” „A czy pani rozumie muzykę?” Ja mówię, że ja może sama nie rozumiem, ale moja dusza to bardzo rozumie muzykę. Moja dusza płacze, ja już nie jestem sobą wtedy, ja siebie nie widzę, nie czuję. Jakos to wszystko tak się rozchoodzi, jakiś bałwan siedzi we mnie. Ja to wchłaniam, tak mi jest dobrze — ja tak oddziałuję na muzykę! Mam takie po cichu marzenia, nie wiem, czy się ziszczą w moim życiu: chciałabym na akordeonie czy na jakimś instrumencie grać. Ja dzień i noc myślę o tym, ale wsty-

szłam do kaplicy, gdzie się ludzie na zawsze ze sobą zegnają. Tam jest taka półrzeźba, jak Chrystus umiera na krzyżu, niewiasty płaczą, a święty Jan tak — jakoś trzyma Matkę Boską w pól. Ze mną coś się dzieje wtedy, jak patrzę; mnie się zdaje, że ja razem stoję z nim. Dostaję gęsiej skóry na sobie od tego. I tak stoję, i stoję godzinę, dwie, i myślę, że jak ktoś na mnie patrzy, to myśli, że jestem obłąkana. I wychodzę, i znowu wchodzę, mogę cały dzień tam stać, nie mogę od tego się oderwać. Dla mnie tam tyle piękna jest w tym przedśionku, że nie zamieniłabym nie wiem na co, tak na mnie bardzo działa malarstwo... ogromnie! No, ja sama nie z tych rzeczy. Patrzeć tylko umiem na malarstwo, sama malować nie umiem. Ale patrzeć umiem. Aż chora wróce, kiedy się naprzyglądam. Chora, rozbrojona, i drzę cała, i nocami całymi te obrazy sni mi się po nocach. I nad ranem nie wiem, gdzie jestem czasami. Dobra. Już mam koniec. Proszę dalej!

PERSONEL: Czajnik emaliowany.
SZEFOWA: Czajnik emaliowany... symbol proszę.

PERSONEL: Cztery B...

SZEFOWA: Cztery B...

PERSONEL: Łamane przez dwanaście.

SZEFOWA: Aha! Łamane przez dwanaście. Sztuk ile?

PERSONEL: Sztuk trzydzieści sześć.

SZEFOWA: Ale ceny mi pan nie podał.

PERSONEL: Cena... tutaj zamazana, może drugi czajnik weźmiemy.

SZEFOWA: Jest jeszcze poezja, która mnie męczy chyba od naj-

I posypał srebrem piękne włosy twoje.

Ta siwizna twoja tak cię przystroiła,

Dodała ci powagi, jakbyś darą była.

Proszę cię, nie maluj się, niech już tak zostanie,

Te obrzydłe farby to istne skaranie.

Właśnie tak piszę i bazgrzę, a mąż mówi: „Zostaw to świństwo daj mi jeść! Odczep się od tych różnych papierów, szpargałów, bo już w głowie od tej twojej poezji się kręci”. Co dalej następuje?

PERSONEL: Garnek polewany.

SZEFOWA: Garnek polewany.

PERSONEL: Z przykrywką.

SZEFOWA: Nie, proszę pana, przykrywkę to idą oddzielnie. Z przykrywką nie może pan podawać. Same garnki.

PERSONEL: Zaraz sprawdzimy.

SZEFOWA: Tak, tak, na pewno. Sztuka mówienia może jest rodzinna. U nas wszyscy w rodzinie dużo rozmawiają. I mój syn, jak pójdzie gdzieś na wieczorek czy gdzieś tak, pójdzie i skarży się do mnie, i mówi: „Wszystko dobrze było, tylko za mało rozmawiałem, bo nie dopuścili mnie do mowy, mamusi”. Mąż bardzo dużo rozmawia, a córka to aż się zachłystuje, jak rozmawia. No, ja już to wyrobiłam w swoim koleżeństwie: jak ja wchodzę i coś mówię, to wszyscy mówią: „Cicho, bo Wanda mówi”. I wszyscy już szeptem, bo wiedzą, że ja zaraz powiem coś ciekawego, że zawsze przygotowuję coś takiego, jakiś wierszyk do rymu powiem, co ja podłuchałam, jak byłam w ośrodku zdrowia. Przyszły właśnie tam dwie kumoszki i tak ze sobą

13

KONTAKTY
6-VII-80

JA MAM TAKI PĘD SZALONY

ANDRZEJ BARTOSZ
WIESŁAW JANICKI

rozumie sztuki. Sztuka jest tak napięta, że trzeba płakać, wtedy oni jakiś mały gest zauważą, śmieją się wtedy i... Nasza publiczność nie do-rósł do teatru i szkoda wystawiać coś dobrego, i przyjeżdżać do Goniądza. Więc jestem taka zmiechona i zaraz wychodzę. Pozabija-labym ich kiedy. Nieraz widzę teatr, obserwuję w telewizji, i tam jakiś rolę ktoś dostał, i tak to źle zagrał, tak w moim mniemaniu, to zdaje mi się, że ja bymś inaczej zagra-la, że ja bymś poszła, ja bymś ina-czej... pomogła. Tak bymś się wczu-la w tą rolę, tak myślę o sobie. Bardzo chciałabym podmienić czy podpowiedzieć, czy popchnąć, żeby jakiś gest zrobił, jakiś inny czy coś takiego. Ja należałam do takiego kółka dramatycznego przed wojną. Wszystka inteligencja z miasta — nauczycielowie, parę sekretarzyków takich młodych, naczelnik poczty i starsi panowie — no i ja grałam między innymi. Nie wiem, dlaczego zauważono mnie w szkole... że ja grałam takie sztuczki różne szkol-ne, więc do kółka tego dramatycz-nego mnie nauczycielowie wzięli i grałam później takie podrzędne ro-le, postugaczki jakies i inne. A później dano mi rolę dobrą. Grałam w sztuce „Stryj przyjechał”. W „Gwałtu, co się dzieje” Fredry główną rolę grałam. Bardzo dobrze to zagrałam, bo tak przynajmniej mówiono. Proszę pana, co tam da-lej?

PERSONEL: Garnki aluminiowe.

SZEFOWA: Napisałam. Sztuk ile?

PERSONEL: Sztuk czterdzieści pięć.

SZEFOWA: Symbol?

dzę się powiedzieć, bo i moja ro-dzina byłaby przeciw temu. Ja już po cichu poczęłam takie coś... pró-by, żeby zagrać sobie jakąś piosen-kę, żeby nie prosić kogoś. Wzięła-bym, przygrała... Dalej, proszę pa-na, co dalej następuje?

PERSONEL: Miednica polewana.
SZEFOWA: Aha, miednica pole-wana... Chyba emaliowana?

PERSONEL: Zaraz, chwileczkę... Emaliowana, tak. Sztuk dwanaście. Jeszcze chwila, może jeszcze będzie więcej gdzieś za tymi wiadrami... (łomot naczyń)

SZEFOWA: Nie ma gdzie tak o-głądać, tylko jak właśnie byłam na wycieczce i oglądałam te rzeźby Wi-ta Stwosza w Krakowie, więc sta-lam jakby kamieniem przed tym ołtarzem. I cóż to jest godzina, że-by to obejrzeć, albo i dwie! Chcia-labym na każdą osobę poświęcić co najmniej dwie godziny, na jedną rękę, na judaszowskie oczy. Chcia-labym całymi dniami się przyglądać na to. Już wycieczka nasza rusza, a ja jeszcze, mnie za mało! Ja tam bym mogła całe tygodnie stać. Każdy szczegół najdrobniejszy muszę obserwować i patrzeć godzinami. Znowu jest właśnie obraz świętej Agnieszki w Goniądzu. Nie wiem, jak kto patrzy na niego, ale ja jak przychodzę do kościoła (wtedy przy-chodzę, kiedy nikogo nie ma), kłękam i przyglądam się wszystkim z osobna. On jest taki piękny! Szczególnie głowa świętej Agnieszki jest taka... taka piękna niewieścią głów-ką. Taka wymuskana, taka nie-winna, taki wyraz twarzy nadany... I mam jeszcze takiego Chrystusa w Elku. Zauważyłam go, jak przy-

młodszych lat. Stale myślę o niej. Układałam wierszyki za swoich lat dziecińczych, bo mnie to łatwo przy-chodziło. Ja nie męczę się z tym bardzo. Jak jestem na remanencie, na przykład, liczę i myślę i myślę o tych rachunkach właśnie, i piszę jedną ręką: tam tyle tego i tyle te-go pomnożyć przez to a to — a już mam z boku jakiś wierszyk. Dwa jakieś mi się wcisnęły, dwa wiersz-ki. W międzyczasie, w między-czasie! Sama nie wiem, jak ja to robię. Jedną komórką poezja zaję-ta, druga komórka liczy sobie, i rozdaję się, nawet nie czuję, kiedy to robię. Już mam wszystkie skrawki gazet wypisane na stole, gdzieś jakiś papier niepotrzebny, to już go zapisalam, już tam zano-towałam. I stałam bym pisać coś no-wego. No, ja nie wiem, jak kto pa-trzy na tę sprawę, ale to moje hobby życiowe. Cieszę się tym, jak coś piszę; czy źle, czy dobrze, ale ja piszę. Są bardzo różne wiersze. Poważne wiersze i są fraszki takie. I między innymi taka frasz-ka, o, teraz napisana, „Kłótnia” pod tytułem:

Zono, gdzie byłaś, skąd wracasz?
Jesteś jak wiewiórka! Ja cię nie poznaję

I nie pozna ciebie nawet twoja córka.

Kto cię tak zmarnował, kto cię tak wykreślił?

Byłaś piękną blondynką w mojej pamięci.

A może ze mnie chcesz zrobić wariata?

Pomalować mnie na zielono? O, to już nie te lata!

Blondynką cię wybrałem, lecz czas zrobił swoje

rozmawiają: „Ale obaczcie, kocha-na, jak te lekary fajnie żyją, jak tu ciepłutko, jak tu dobrze, ojej! Oni i pewnie smacnie jedzą, te le-kary. I nas Antek naszej Mańki to tys tym lekarzem chciałby być, wie-cie! Dwa lata był na szkole, się uczył, a potem jak dali człowieka jem po-pruć, to jak jego zhażdziło, to jak jego rzuciło, i wiecie, on rzucił to wsio, on nie jest lekarzem, on jest sekretarzem tera”. No, takie tam różne podłuchuję z gwary i opo-wiadam. Tak. Tutaj ludzie... tutaj naród śpiewny i wesół. To takie coś z mojego wierszyka, ja może powiem: „Z tego wszystkiego słyniemy w krainie — mowa nas roz-sławiła i pamięć o nas nie zginie”. (stukot łyżycy)

PERSONEL: Teraz noże z trzon-kiem drewnianym. Nie, komplet sztućców.

SZEFOWA: To jest pakowane?

PERSONEL: Tak, pakowane.

SZEFOWA: Symbol?

PERSONEL: Trzynaście B.

SZEFOWA: Trzynaście B?

PERSONEL: Tak. Łamane przez jeden. Kompletów dwanaście po...

SZEFOWA: I tak, panowie, życie potoczyło się swoim torem, a to in-nym torem poszło właśnie, i nie zgadza się jedno z drugim. I ciężko może z tym, ale sobie jakoś ra-dzę. Tu pracuję, trochę piszę i z tego mam zadowolenie. Ta poezja i wszystko, wszystkie te myśli zo-stały we mnie. Ja się tego wyżyć nie mogę, po prostu nieraz może byłam i nieszczęśliwa z tym... I tak mi nieraz dobrze robi się, ale wracam do tego, ponieważ to kocham, chyba jestem tak urodzona, tak my-się sobie... (stukot łyżycy)

obyczaje

Przed remontem restauracji „Kameralnej” byliśmy świadkami rozegranej tam bójki osobników obu płci na szklane popielnice. Wśród poszkodowanych znalazły się dwie kobiety i jedna popielnica, nie zatem dziwnego, że personel lokalu chciał za wszelką cenę pozbyć się uczestników zajścia, za aprobatą szefowej, która oświadczyła, że konsumenci często w tej restauracji doświadczają podobnych wrażeń, a lokal ponosi straty, więc wolałaby, aby jednak bili się na ulicy. Kiedy wreszcie zdecydowała się na telefon do MO i stanęła obok nas, gotowa słyszeć informacje — żaden z przybyłych funkcjonariuszy nie skorzystał z deklaracji zeznań. Ciekawi jesteśmy — dlaczego. I jakie zostały wyciągnięte konsekwencje wobec uczestników zajścia.

*

Wypoczynkowa perła Ziemi Łomżyńskiej — Kozioł — oferuje przebogate wnętrza swego zajazdu i pełne talerze tylko specjalnym gościom oraz obozowiczom. Konia z rzędem temu, kto zdoła coś zjeść w tym lokalu w powszedni dzień, nie będąc uczestnikiem którejś z wymienionych grup konsumentów. W Kolnie spotkaliśmy człowieka, który widział kiedyś w koziołskim lokalu lina w śmietanie i porcję węgorka. My tę wiadomość między bajki wkładamy.

*

W księgarni przy ul. Buczka w Łomży sprzedawczynie postawiły sobie za cel pilnowanie książek. Obejrzeć można to, co na ladzie, o resztę — pytać. Tylko kogo, skoro żadna z nich nie potrafi udzielić konkretnej porady. Klient przychodzi nie zawsze ze sprecyzowanym zamiarem i tylko swobodny przegląd półek decyduje, czy nie opuści księgarni z pustymi rękami. Ale sprzedawczynie nijak tego nie mogą pojąć, dlatego otoczyły się w swej twierdzy książkowej solidnymi sznurami, a intrygantów, przywlekłych do innych obyczajów, bezpardonowo wydalały poza jej granice.

*

Od czterech lat prawie 40-tysięczna Łomża dysponuje tylko jednym kinem — „Październik” — które służy także jako sala teatralna, estradowa i konferencyjna oraz miejsce organizowania akademii okolicznościowych. Jako sala teatralna kino nie zdaje egzaminu ze względu na fatalną akustykę i... widzów, którzy (szczególnie młodzież szkół średnich) zachowują się na spektaklach niczym na majówkach i głośno dopingują aktorów do podnoszenia głosu, jeśli ci nie mogą się przebić przez nieustanny szelest papierków, skrzypienie krzeseł i drzwi, szept i chichoty.

*

Na pytanie o książki cieszące się największą popularnością wśród czytelników — pani z wypożyczalni Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej oświadczyła, że prawo do udzielania wywiadów ma tylko dyrekcja Biblioteki.

*

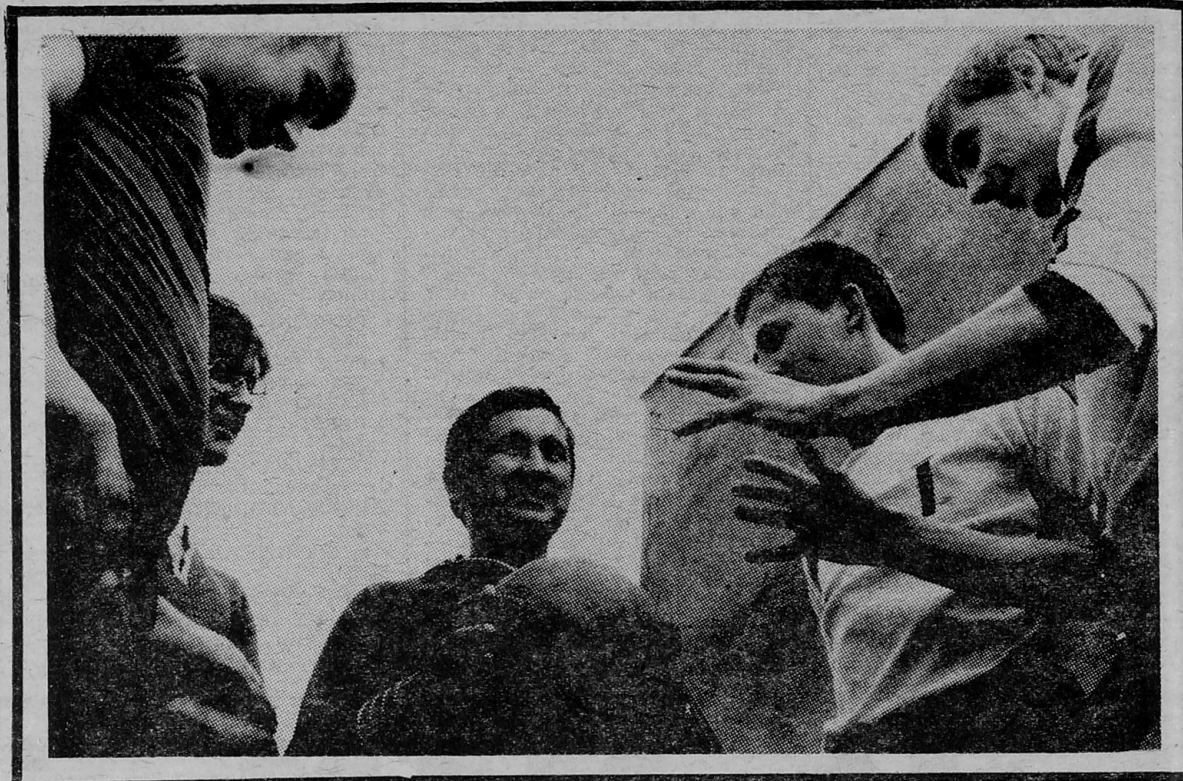
Uwaga! Duży wybór płaszców i kurtki zimowych proponuje sklep „Junior” przy ul. Armii Czerwonej w Łomży. To nie, że z ubiegłego sezonu. Każdy sposób na przypomnienie faktu przemijania czasu (po lecie i jesieni niechybnie przyjdzie zima) jest słuszny.

*

Zgodnie z hasłem „Pasze na wagę złota” — Przedsiębiorstwo Przemysłu Spożywczego w Łomży obwozi ten drogi ładunek dla Ośrodka Hodowli Zarodowej w Grabowie (oddalonego od Łomży o 38 kilometrów) tranzytem przez Śniadowo, Łapy, Białystok, Mońki i Grajewo. Dyrektor Ośrodka w Grabowie chciałby pasze odbierać własnym transportem bezpośrednio z Łomży, ale czy zagwarantuje im pełne bezpieczeństwo? A poza tym żadne z sąsiednich województw nie zauważy sukcesów produkcyjnych łomżyńskiej Wytwórni Pasz.

MECZBOL

WOJCIECH MITTELSTAEDT



Wiceprezesowi łomżyńskiego klubu „Zorza”, Piotrowi Witkowskiemu, marzy się takie niedzielne przedpołudnie, kiedy będzie mógł wyjść z domu z rodziną i wpaść na jakieś atrakcyjne zawody sportowe, na przykład — na mecz siatkówki, ale do gry, na co najmniej ligowym poziomie.

Czy to realne marzenie? Wiceprezes waha się krótko: — Oczywiście, realne. Jeśli ma się taką młodzież...

A młodzież klubu „Zorza” rzeczywiście sprawiła spore zamieszanie w siatkarskim światku. O łomżyńskiej drużynie, której nazwę poprzedzają literki MKS (co rozszyfrować trzeba: Międzyszkolny Klub Sportowy), mówiło się w maju głośno. Ale zanim do tego doszło, trener Ryszard Skrodzki (pełniący właściwie tę funkcję społeczną, bo nie jest etatowym pracownikiem Wojewódzkiej Federacji Sportu) miał dwa lata temu ze swoimi chłopakami męską rozmowę. Właśnie przegrali mecz z zespołem MDK Warszawa. I to przegrali z kretesem, tak że odechciało się im w ogóle uprawiania sportu. „Przebież, trenerze, my nigdy nie będziemy grać tak, jak ci z emdeku — mówili. — Po co bawić się w siatkówkę?” Rozmowa miała więc jeden cel: przekonać młodych zawodników, że chłopcy ze stołecznego MDK, który szkoli siatkarskie kadry dla potężnych, ligowych klubów, wygrali tylko dlatego, iż więcej trenują; że nie ma żadnych innych tajemnic w ich przynajmniej zwycięstwie.

W końcu stanęła umowa: do spartakiady młodzieży chłopcy z MKS-u „Zorza” w Łomży będą pracować tyle, ile trzeba, aby móc myśleć o prawdziwym graniu w siatkówkę.

Dlaczego właśnie spartakiadowy start miał stanowić ukoronowanie wspólnego wysiłku, jakiego podjęli się trener i grupa chłopaków? Wiadomo. Ogólnopolska spartakiada młodzieży, impreza przeprowadzona z wielkim rozmachem, stanowi pierwszą i jedyną właściwie szansę porównania swych sił z rówieśnikami z całego kraju. Nie darmo też spartakiadowy sukces nazywany bywa przepustką do wielkiego sportu. W tej chwili niewielu już jest wybitnych zawodników, reprezentantów Polski i olimpijczyków, których sportowa kariera nie rozpoczynałaby się od udanego spartakiadowego występu.

Jest jeszcze coś, co decyduje o randze i znaczeniu tego sportowego święta młodzieży. Zmieniały się regulaminy spartakiad, sposoby punk-

tacji, zawsze jednak lokata zajęta w tej imprezie dawała jakieś pojęcie o miejscu miasta, województwa czy regionu na sportowej mapie Polski. Kiedy sportowcy województwa łomżyńskiego debiutowali w spartakiadzie, zdobyli w niej 4 punkty, za udział... jednego piłkarza w finałowym turnieju. Później było już zdecydowanie lepiej, choć — oczywiście — ktoś, kto startuje niemal od zera, inaczej musi mierzyć swoje ambicje od sportowych potentatów.

Powróćmy jednak do trenera Skrodzkiego i jego siatkarzy. Umowa zawarta po niesławnej porażce z emdekiem była dotrzymywana. Nikt nie uskarżał się na nadmiar pracy, wszyscy wierzyli trenerowi, a ten prowadził zajęcia i jednocześnie starał się, aby młodzi zawodnicy mieli jak najwięcej okazji do gry, i to gry z silnymi drużynami. W ciągu roku chłopcy rozegrali około czterdziestu spotkań. Długo przegrywali, aż od jakiegoś momentu coś zaczęło się zmieniać w zespole. Coraz mniej było porażek, coraz więcej udanych spotkań. To też kiedy podczas turnieju strefowego w Białymstoku przyszło walczyć o prawo występu w finałach spartakiady młodzieży, trener miał prawo liczyć na awans swojej drużyny.

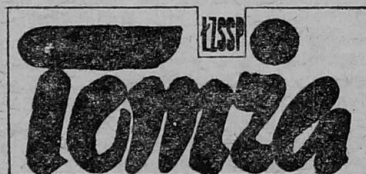
Jeśli ktoś znał układ sił w naszej siatkówce i wiedział, z kim przyszło chłopakom „Zorzy” walczyć o finałowe miejsce — ten w ogóle nie brał pod uwagę łomżyńskiej drużyny. A jednak podczas rozgrywanego w Białymstoku turnieju awansowały zespoły warszawskiej „Legii” i łomżyńskiej „Zorzy”; po-

konani zostali chłopcy z województw: olsztyńskiego, białostockiego, gdańskiego, ostrołęckiego, ciechanowskiego i suwalskiego, a więc wielu województw o ładnych sportowych, a zwłaszcza siatkarskich tradycjach.

Finał odbywał się w maju w Częstochowie. I tam właśnie zaczęło być głośno o siatkarzach z Łomży. Nie, nie wygrali — znaleźli się jednak wśród ośmiu najlepszych zespołów walczących o medale. Tak wysoko dotarli tylko słynne kluby, mające ligowe tradycje, uznanych szkoleniowców, przestronne sale, sauny, gabinety odnowy, i jeden tylko, szerszej nie znany, klub „Zorza”.

Siatkarze zajęli siódme miejsce; ktoś zaraz przeliczył to na spartakiadowe punkty, które po zakończeniu całej imprezy zostaną zsumowane. Dla trenera Skrodzkiego jednak samo miejsce nie jest takie ważne. Ważne jest, iż jego chłopcy nie są gorsi od innych; że nawet jeśli przegrywali, to po zaciętej i wyrównanej walce. No i jeszcze bardzo ważna jest dla niego mała osobista satysfakcja. W Częstochowie los zetknął „Zorzę” z warszawskim emdekiem; „Zorza” wygrała 3:2. Kiedy dwa lata temu trener mówił drużynie, że z tymi chłopcami mogą wygrać, brzmiało to trochę nieprawdopodobnie. Dziś można powiedzieć, że słowa dotrzymał.

A umowa zawarta dwa lata temu, której ważność wygasła wraz z zakończeniem finałowego turnieju w Częstochowie? Została przedłużona. Teraz celem są występy ligowe.



ŁOMŻYŃSKIE
ZAKŁADY SPOŻYWCZE
Spółdzielnia Pracy
w Łomży, ul. Zajazd 10

OGŁASZA PRZETARG NIEOGRANICZONY

na remont kotła parowego typ Ekonomik E-40 w okresie 4—24 sierpnia br.

Przetarg odbędzie się w biurze Spółdzielni w dniu 15 lipca 1980 r. Oferty należy składać do 15 lipca br. godz. 9.

Informacje w Dziale Głównego Mechanika, tel. 39-37.

Zastrzega się prawo odstąpienia od przetargu bez podania przyczyn.

KŁ 2902-1

NAGOWSTRĘTY COŚ NA RZECZY BYŁO

Andrzej Banach, bądź co bądź autor, w sprawach erotycznych, pisze: „Polak prawdziwy, ten z obrazu, ogromny, na twarzy krwisty, w długim kontuszu, z wąsem po tu-recku, lokował erotyzm między o-bowiązkami małżeńskimi a grzechem śmiertelnym. W środku nie było nic. Dlatego wyobrażamy go sobie, jak dręczy swoją dobrodziejkę, bo to najłatwiejszy dowód uznania, jak pał z dymiącej króciwej do jej wiel-biciela, bo i o to nie było trudno, albo jak leży krzyżem w kościele, gdy zawinił. Ale niełatwo przedsta-wić sobie prawdziwego Polaka spe-dzającego czas na czułych zabawach nocnych. A jednak coś na rzeczy było i jest, zwłaszcza dzisiaj”.

Zwracając się ku temu, co było, trzeba zacytować Ibrahima ibn Ja-kuba, który w X w. relacjonował z krajów słowiańskich: „Panna, gdy pokocha jakiego mężczyznę, u-daje się do niego i zaspakaja u niego swą żądzą. A kiedy małżo-nek poślubi dziewczę, mówi do niej: gdyby było w tobie coś dobrego, byłoby cię pokochali mężczyźni i z pewnością byłabyś sobie wybrała kogoś, kto by wziął twoje dziewi-ctwo. Potem ją odsyła i uwalnia się od niej”.

Nie wygląda to na purytańskie zamroczenie.

Zmieniło się w XVI w. wraz ze wzrostem religijności. Wówczas „wzszeteczni amatorzy wenusowych zabaw” znaleźli się na indeksie. Choć, oczywiście, nie wszyscy. O-gień piekielny i sady przeznaczano zwykle dla maluczkich; moiżni tego świata na ogół uchodzili karze, choć nie uchodzili — świeżo przywiezio-nemu z Ameryki — syfilisowi.

POCZET DIABŁÓW POLSKICH

BORUTA

zanim został pierwszym polskim diabeł, był kujawskim witeziem, ale temperament od urodzenia miał piekielny. Wprawdzie zęgał się krzyżem, lecz nie holdował ani Bogu, ani królom. Otwarcie wojował z biskupem i mnichami, a do jego u-lubionych zajęć należało oddawanie porwanych z klasztoru dziewcz-pacholkom do zabawy. Był kandyda-tem samego Lucyfera, który potrze-bował piekielnego namiestnika na Polskę.

Opat Arnold obłożył Borutę kła-twą, a męzny Odo walczył z nim wręcz — obaj bez skutku. Witeż kujawski bezkarnie hulał nad Wisłą głosząc, że powyrzyna w pień tych, którzy wyznają „cesarską wiarę i starodawną mowę mają w pogar-dzie”. Boruta, gdy przygryzał wargi, to do krwi, gdy zaciskał pięści, to kości trzeszczały. Często zdarzało mu się spać iskrami z oczu i toczyć pianę z ust.

Zgubiła go słowiańska brawura,



Rysunek Franciszka Starowieyskiego

Za grzech wolnej miłości, za cu-dzołożenie, przewidywano surowe kary, włącznie z karą śmierci, choć najczęściej stosowano kary pienięż-ne dla bogatych, i chłostę dla bied-nych. O morale walczone przy po-mocy grzywny, przegierza, gęsiara lub kłatwy.

gdy gołymi rękami chciał wywró-cić świeżo wymurowany kościół w Łęczycy. Szlag go trafił.

Zachował się opis przyjęcia, jakie Borucie zgotował Lucyfer w piekle: „U wrót odchłani czarty sprento-wały halabardy, a wszystkie diabły wystąpiły z odznakami swych urzę-dów. Jedni nieśli noże ogromne do krajanów grzeszników, inni dźwigali młoty ogniste, którymi smagali po-tępieńców, byli oprawcy z pętlami i harpunami, obrzydliwe diablice wyostrzyły pazury, przeznaczone do targania obmówców i niewiernych kochanek, a sam Lucyfer wystąpił w czerwonym płaszczu z ognistej purpury, u stóp zaś jego postępował ohydny smok, ziejący siarką”.

Po diabelskiej nominacji na wo-jewodę i piekielnej uczcie Boruta „na karym rumaku, ubrany w kar-mazyn i złoto”, wrócił na ziemię bu-dować podziemny zamek w Łęczycy.

Boruta nie należał do diabłów szczególnie wydajnych. Stale uwik-lany w jakieś kobiety, lekceważony przez służbę, oszukiwany przez lud i bierzniomany przez mnichów — kiepsko służył diabelskiej sprawie. Na urządzie wojewody raczej się nie sprawdził. Są podejrzenia, że czasem nawet dzieci do chrztu trzymał.

UROKI GMINNE

OPĘTANIE WIEPRZKA WE WSI KLUKOWO

Do częstych i ulubionych praktyk niegdysiejszych czarownic należało zadawanie uroków mlecznym kro-wom. Bywało, co zanotowali skru-pulatni kronikarze, że krowom „z ogonów mleko ciekło” lub — co gorsze — znikąd, bo żywinę czarow-nica skropiła krwią lub posypała proszkiem z trupich kości.

Ponad wszystkim umiłowane przez czarownice mleko i krowy nie były wszakże jedynym celem magicznych zabiegów. Nie oszczędzono również owiec, koni i świń, co też przetrwało do dzisiaj.

Ostatni akt opętania wieprzka za-notowano przed miesiącem we wsi Klukowo, gdzie wieprzek przybył na spód wraz ze swoim żywicielem, to jest — gospodarzem ze wsi Wyszoni-ki-Wojciechy. Wieprzka opętało na gminnej wadze, przy czym był to

przypadek opętania najgorszy, gdyż klasyfikator skupu wzbraniał się przed wydaniem kwitu; wreszcie przyjął wieprzka do państwowej rzeźni pod warunkiem, że będzie on zachowywał się poprawnie. W prze-ciwnym razie właścicielowi zostanie wypłacona wyłącznie równowartość świńskiej skóry. U wieprzka, które-go tymczasem poddano próbie kija, stwierdzono zadyszkę oraz upór bez wątpienia wykraczający ponad świńską normę. Byli tacy, którzy przy-chylali się do zdania, że zwierzę po prostu źle potraktowano.

Gospodarz, mimo wszystko do wieprzka przywiązany, zdecydował się szukać rozwiązania sporu u miej-scowego weterynarza. W lecznicy zmierzono prosiakowi gorączkę, a następnie, po konsultacji weteryna-rza z wagowym i klasyfikatorem, zaaplikowano mu dwa zastrzyki, po

„Chłopska Droga” w artykule o jałowosci krow: „Pociągającym mo-że być jedynie fakt, że w wojewódz-twie łomżyńskim służba weteryna-ryjna oraz pracownicy SHUZ wy-pracowali trwałe formy wzajemnej współpracy”.

Dobre i to.

Fragment publikacji Jacka Rataj-czaka: „[...] ruszam z Urzędu Pocztowego na plac kapitana Raginisa, z placu idę 1 Maja, skręcam w lewo w Ogródową, z Ogródowej w lewo przecinam 1 Maja i idę w prawo Ogródową, później ulicą Bony do Kopernika, przez Kopernika wracam na Szkolną, ze Szkolnej idę w Se-natorską, z niej wchodzę na lewą stronę placu kapitana Raginisa. Za-chodzę na posterunek Komendy MO, do szkoły, do ośrodka zdrowia, na-stępnie wracam do Urzędu, nabieram drugą torbę. Idę ulicą Mickiewicza,

WYWARY WSPÓŁCZESNE

później na Czarnieckiego (kiedyś Długa). Idę nią aż do końca, trzy kilometry aż do numeru dwieście pięć. Wracam i wchodzę na 1 Maja, potem na Nadnarwiańską, znów na 1 Maja. Kończę ją, przechodzę do Urzędu, nabieram trzeci raz torbę i idę prawą stroną placu kapitana Raginisa, wchodzę na ulicę Tysiąclecia, stąd na Cmentarna, z Cmen-tarnej na Kombatanów, stamtąd wracam na Zamkową. Wchodzę na Tysiąclecia, też dość długa, znów na Czarnieckiego, na tzw. Wizie-2. Idę nią do pierwszego numeru, wraca-jąc zachodzę do eskaeru, do leczni-cy zwierząt na ulicę Łomżyńską. Na ostatku obsługuję Czarnieckiego między Mickiewicza a Tysiąclecia”.

Są inne rewelacje z cyklu: ko-cham swój zawód.

Z telefonogramu Wydziału Gospo-darki Terenowej i Ochrony Środo-wiska Urzędu Wojewódzkiego w Łomży: „Nas jako organ ochrony środowiska interesuje efekt końco-owy [...]. Dochodzenie do tego efektu to sprawa wyłącznie inwestora”.

Chodzi o ścieki.

BESTIARIUSZ KIESZONKOWY

wg HEINZA MODEGO

ABRAKSKAS — bóstwo gnostyce-zne z rodziny istot mieszanych. Ma kogucią głowę, ludzki tors i dwa węże zamiast nóg. Ostatnio objaś-niony został jako starożydejski sym-bol Boga. Występuje często na póź-norzemiejskich gemmach, czyli rzeź-bionych kamieniach szlachetnych, jako bóstwo o imieniu Jao.



czym, już spokojniejszego, odesłano do domu.

Henryk Puchalski, właściciel opę-tanego wieprzka, nie mógł — czy nie chciał — zrozumieć ani weteryna-rza, ani wagowego, ani klasyfikatora. Nie chciał również radzić sobie według starych przepisów, to zna-czy: odpędzać złego z chlewu przy pomocy palonych ziół lub za pro-tekcją zawieszoną u pułapu, pieczo-

MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jak pamiętamy, akcja toczy się wśród nadzecznych krzów i mamo-rów w okolicy Choroszczy nad Nar-wią. Cztery diabły, ob. ob. Supraski, Narwiański, Biebrzański i Bużański, siedząc na rudawinie smażyą ryby. Błędny ogień służy im za kuchenkę gazową. Mija godzina 24.00.

NARWIAŃSKI (wacha rybkę, krzywi się, spłuwa i mówi): Tam do diabła! Nawet jak na moje diabel-skie powonienie — zjeść nie dam rady.

SUPRAŃSKI: Toż mówił ja, że eks-tremanenta medyczne do rzeki kana-lem wlałato, temu i od niej jedzie, normalna lucka sprawa.

NARWIAŃSKI: Drobną sprawą. Wracając do tematu — stawiam wniosek o redukcję piekielnych eta-tów. Teren mały, jeden wystarczy. Dam sobie radę sam.

BIEBRZAŃSKI: Za pozwoleniem. Teren faktycznie mały, ale pracy dla ambitnych nie zabraknie. Weźmy np. gminę Gopiadz. Krótko tam przebywałem, a ile już zdziałalem!

SUPRAŃSKI: Faktycznie. Docho-dzili mnie jakieś słuchi. W lecznic-twie żeście naputali czy jak?

NARWIAŃSKI: W jakim tam lecz-nictwie; tylko w pogotowiu ratunko-wym.

BIEBRZAŃSKI: Dobra, dobra! Pogotowie — inna sprawa. Karetki zamiast z pobliskich Moniek, trzy razy dalszą drogą aż z Grajewa przyjeżdżały! A szpital w Grajewie to kto załatwił?

SUPRAŃSKI: W samej rzeczy! Jesz-cze nie koniec budowy, a już remont dla jego się należy. Moje gratulacje, kulię Biebrzański. Wysoko ja cenie wasze zaangażowanie. Jako diabeł makroregionalny krzywdy ja zrobić wam nie dam. Inna sprawa z wami, kulię Bużański. U was sukcesów jakby trochę mniej.

BUŻAŃSKI: Diabla tam! Kto teatr w Ciechanowcu rozgonił? Nawet w gazetach o tym pisali.

NARWIAŃSKI: Ale to sukces jed-nostkowy, kolego Bużański.

BUŻAŃSKI: Jak to? Banku Miast już nie pamiętacie. Tak ich urzą-dziłem, że do dziś się kłocą. Predko się, nie pozbierają!

BIEBRZAŃSKI: Jak widać, wszy-scy mamy niemałe zasługi, a kolega Narwiański chce nas zredukować. Co on sam takiego zrobił, no, oprócz łomżyńskiej oczyszczalni?

NARWIAŃSKI: Tfu! Do stu diab-łów! A kto niby w ubiegłym roku zatrul Narew aż do Zalewu Ze-grzyńskiego? O mało sam nie spły-nąłem brzuchem do góry. A kto sport łomżyński załatwił? Pingpon-giści za własne pieniądze o mało do ekstraklasy nie weszli! Na szczę-scie w porę zareagowałem i już ich w drugiej lidze nawet nie ma. Bok-serzy na deskach, piłka nożna sko-pana. A ile naraż w tej sprawie im zwołałem, ilu trenerów narailem, o!

SUPRAŃSKI: Kuliedzy! Jak wi-dzieć, kuźden jeden ofiarne działa na swoim odcinku. Róbta tak dalej! Nu, pokosztujcie rybki. Od głowy ona dobra, tylko ogon u niej jedzie.

BIEBRZAŃSKI (wacha): To ja już chyba nie wiem, gdzie u niej gło-wa...

SUPRAŃSKI: Nie ma się czego spierać o drobiazgi. Kuliedzy! Dbaj-my my o nasze dobre Kontakty.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

Andrzej Koziary
pod redakcją
organ samoistny
pokusy

KONTAKTY
13 VII 80
CENA 4 zł